

BETTY NEELS

Staromodna dziewczyna



Harlequin[®]

Toronto • Nowy Jork • Londyn
Amsterdam • Ateny • Budapeszt • Hamburg
Madryt • Mediolan • Paryż • Praga • Sofia • Sydney
Sztokholm • Tokio • Warszawa

Tytuł oryginału:
An Old-Fashioned Girl

Pierwsze wydanie:
Mills & Boon Limited 1992

Przekład:
Janusz Węgielek

Redakcja:
Krystyna Barchańska

Korekta:
Ewa Popławska
Bożenna Lada
Hanna Chróścielcka-Kasak

© by Betty Neels 1992

© for the Polish edition by Arlekin - Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 1993

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych czy umarłych - Jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Romance są zastrzeżone.

Skład i łamanie: PRINT. Warszawa
Printed in Germany by ELSNERDRUCK

ISBN 83-7070-329-1
Indeks 383029

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dwóch mężczyzn stało przy oknie i patrzyło na ponury styczniowy krajobraz. Nagle, jak na komendę, odwrócili się i ogarnęli spojrzeniem pokój, w którym się znajdowali.

- Ma się rozumieć - zauważył starszy z nich, niski i grubawy, ze strzechą popielatych włosów nad mięsistą twarzą - Norfolk, a szczególnie jego wiejskie okolice, nie są podczas zimy zbyt zachęcające.

Jakby na przekór tym słowom, w jego głosie pobrzmiwał optymizm.

- Nie oczekuję żadnych szczególnie estetycznych przeżyć. - Drugi mężczyzna mówił z wyczuwalnym obcym akcentem. - Liczę przede wszystkim na spokój i ciszę. - Raz jeszcze zlustrował dość miłe, choć raczej skromnie umeblowane wnętrze, którego od tygodni nikt nie opalał. - Dzisiaj mamy szóstego, sądzę więc, że sprowadzę się tutaj za cztery dni. Gospodynię przywiozę ze sobą, ale poza tym przydałaby się osoba do najrozmaitszych posług. Czy może mi pan kogoś polecić?

- Nic łatwiejszego, panie Van der Beek. We wsi jest wiele kobiet godnych zaufania, z których każda chętnie zatrudni się u pana. Przydałby się też panu ogrodnik, a stary Ned Groom opiekował się niegdyś tym ogrodem.

- W porządku. - Van der Beek ponownie odwrócił się do okna. Był bardzo wysokim trzydziestokilkuletnim mężczyzną o jasnych jak len włosach. Z jego

mocną budową ciała harmonizował imponujący nos na przystojnej twarzy. Miał twardo zarysowane usta i czyste błękitne oczy. - Wynajmuję dom na pół roku, pan zaś zechce załatwić wszystkie formalności.

- Oczywiście. - Starszy mężczyzna zawahał się. - Wspomniał pan, że ponad wszystko przedkłada spokój i ciszę. Czy mógłbym w takim razie zaproponować osobę, która przejmie na siebie wszystkie obowiązki dnia codziennego i będzie odbierała telefony, robiła zakupy, płaciła rachunki, grzecznie usuwała nieproszonych gości i dbała o pański dom, gdy pan będzie musiał się wybrać w kilkudniową podróż?

- Słowem, wzór doskonałości - oschle skomentował Van der Beek.

Jego rozmówcy przypadło do gustu to określenie.

- Trafił pan w dziesiątkę. Chodzi o mieszkankę tej wsi, osobę rozsądną i dyskretną. Pana gospodyni nie musi się obawiać, że jej autorytet zostanie podkopany.

Van der Beek rozważał przez chwilę propozycję.

- W zasadzie nie mam żadnych zastrzeżeń do samego pomysłu, z tym że warunkiem przyjęcia do pracy będzie zgoda tej osoby na miesięczny okres próbny. Do pana należy omówienie szczegółów, ustalenie pensji i tak dalej.

- Jaka płaca wchodziłaby tu ewentualnie w rachubę? Van der Beek machnął niecierpliwie ręką.

- Pozostawiam to pana uznaniu. - Podszedł do drzwi. - Czy podrzucić pana do Aylsham?

Tamten skwapliwie przyjął ofertę. Opuścili stare domostwo i wsiedli do granatowego bentleya, który stał na podjeździe. Do Aylsham było około trzydziestu kilometrów, a że nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia, spędzili czas jazdy w milczeniu. Dopiero kiedy Van der Beek wysadził agenta mieszkaniowego

przed jego biurem na głównej ulicy, przypomniał sobie o pewnej kwestii.

- Zapewne ma pan telefon mojego adwokata? Przypuszczalnie też z usług jakiegoś prawnika korzysta właściciel domu?

- Oczywiście. Jeszcze dzisiaj skontaktuję się z nimi. I proszę być pewnym, że kiedy za cztery dni pan tutaj wróci, dom będzie gotów do zamieszkania.

Pożegnali się, po czym Van der Beek wyprowadził wóz na szosę prowadzącą do Norwich. Ominął obwodnicą stolicę hrabstwa Norfolk i rezygnując z autostrady wybrał boczną drogę przez Sudbury i Saffron Walden. Miał sporo czasu i chciał, zanim dojedzie do Londynu, przemyśleć raz jeszcze swoje plany.

Czekało go pół roku z dala od szpitala, gdzie pracował jako chirurg. Jego drobiazgowe notatki osiągnęły już takie rozmiary, że wręcz domagały się przetworzenia w książkę na temat pewnych zagadnień z dziedziny chirurgii. Minione tygodnie spędził na poszukiwaniu odpowiedniego miejsca i lokum, gdzie mógłby zasiać do swej pisarskiej pracy. I oto wreszcie je znalazł, a przynajmniej miał taką nadzieję.

Odprowadziwszy wzrokiem granatowego bentleya, pośrednik mieszkaniowy wszedł do swego biura i natychmiast chwycił za słuchawkę. Gdy zaś po tamtej stronie dał się słyszeć męski przytłumiony głos, od razu przeszedł do rzeczy.

- George? Doktor Van der Beek zdecydował się na dom Martinów. Wynajmuje go na pół roku. Kiedy podsunąłem mu pomysł, aby zapewnił pomoc swojej gospodyni, dość gładko wyraził zgodę. Czy mógłbyś jak najszybciej skontaktować się z Patience?

Nie powiedziałem mu, że jest krewną właściciela. Zresztą nie sądzę, aby mieli się widywać. Doktor chce pisać swoją książkę w absolutnym spokoju. Jeśli więc Patience będzie trzymała się na uboczu i przedstawiała tylko z gospodynią, to przez pół roku praca jest jej.

W słuchawce rozległ się suchy kaszel George'a Bennetta.

- Zaznaczam, że formalności...

- Tak, tak, wiem, ale obie panie Martin na gwałt potrzebują pieniędzy i Patience mogłaby załatać dziury w domowym budżecie. To jest jak manna z nieba.

George Bennett ponownie zakasłał.

- Zgadzam się z tobą, że takiej okazji nie wolno przepuścić. Czy w rozmowie z doktorem Van der Beekiem poruszyłeś kwestię wynagrodzenia?

- Nie, ale gość przyjechał bentleyem i nie targował się o wysokość najmu. Myślę, że nie zawadzi, jeśli Patience zadzwoni do gospodyni i przedstawi się jej. Spodziewam się, że Van der Beek zleci Patience prowadzenie domu.

- Oby tak się stało. Ja w każdym razie już idę zanieść paniom Martin tę wiadomość.

Patience Martin, trzymając w rękach kilka sztuk świeżo uprasowanej i starannie złożonej bielizny pościelowej, stała przy oknie w swojej sypialni i wyglądała na ulicę. Jej wzrok zatrzymał się na czarnym rozłożonym parasolu i sylwetce starszego pana, w którym rozpoznała George'a Bennetta. Wąska i cicha uliczka zabudowana była po obu stronach niewielkimi bliźniaczymi segmentami. Pan Bennett najwyraźniej zmierzał ku drzwiom domu jej ciotek. Patience odłożyła bieliznę i szybko zbiegła na dół, aby otworzyć gościowi drzwi, zanim ten naciśnie dzwonek. Ciotki przed podwieczorkiem ucinały sobie

drzemkę i były zbyt stare i wątle, ażeby budzić je złymi wieściami. Odkąd bowiem na skutek bankructwa ich przedsiębiorstwa utraciły prawie cały majątek, widziały w starszym panu zwiastuna złych wieści. Adwokat przede wszystkim wytłumaczył im, że muszą opuścić swój dom, sprzedać go lub wynająć i żyć z uzyskanego w ten sposób dochodu, ma się rozumieć, bardzo skromnie. Przyzwyczajone przez całe życie do komfortu, przeżyły wielki szok, niemniej odmianę losu zniosły bez skargi. Przeprowadziły się do ciasnego segmenciku, który wynalazł im pan Bennett, i nadal nie miały jasnego obrazu swej materialnej sytuacji. To Patience zmagająca się z trudnościami, płaciła rachunki i kupowała jedzenie wążąc w duchu groszowe różnice cen. Starła się tak gospodarzyć skromnymi zasobami, ażeby zawsze miały kieliszek sherry przed obiadem i herbatę Earl Grey, ekstrawagancje, które musiała równoważyć tańszymi kawałkami mięsa czy też sztokfiszem zamiast halibuta.

Dopadła drzwi, zanim pan Bennett zdążył narobić hałasu, i wpuściła gościa do środka. W małym holu odebrała od niego parasol, pomogła mu zdjąć palto, po czym cichym głosem powiadomiła go, że ciotki śpią. Przeszli do saloniku. Zgromadzone tu były najcenniejsze rodzinne meble i pamiątki, ale dywan i zasłony raziły tanizną i tandetą. Pan Bennett usiadł w ogromnym fotelu o wytartej tapicerce z brokatu i postawił swoją teczkę na podłodze przy nogach.

- Jeśli przyniósł pan jakieś złe wiadomości, proszę najpierw przekazać je mnie - powiedziała Patience spokojnym głosem.

George Bennett czekał, aż młoda kobieta zajmie miejsce naprzeciwko. Miała otwartą twarz, wyzbytą wszelkiej pretensjonalności, i piękne szare oczy obramowane długimi i gęstymi czarnymi rzęsami. Na

tym jednak kończyła się lista jej zalet. Bo niewątpliwie ani zbyt krótki nos, ani szerokie usta, ani gładko przyczesane i zebrane w niedbały kok włosy nie dodawały jej urody.

- Moja droga Patience, tym razem przynoszę dobre wiadomości. Dom twoich ciotek został wynajęty na doskonałych warunkach na pół roku, a czynsz będzie płacony każdego miesiąca z góry. Przez jakiś czas będziesz więc uwolniona od trosk i kłopotów.

Patience pomyślała o kupce nie zapłaconych rachunków i odetchnęła z ulgą.

- Kiedy lokator chce się wprowadzić?

- W przeciągu czterech dni. Nazywa się Van der Beek i jest chirurgiem, który ma zamiar napisać coś w rodzaju podręcznika ze swojej dziedziny. Wybrał wasz dom, gdyż doszedł do wniosku, że znajdzie w nim spokój i ciszę. Przyjedzie tu z gospodynią, jednak poprosił pana Tomkinsa, aby znalazł mu dodatkową osobę do zarządzania gospodarstwem. Rzecz po prostu w tym, że pan Van der Beek chce się poświęcić wyłącznie swej książce, a wszystkie inne sprawy zlecić komuś godnemu zaufania. Pan Tomkins powiedział mu, że zna kogoś takiego. Miał na myśli ciebie, choć nie wymienił twojego nazwiska, ani nie zdradził, że mieszkałaś w tym domu. Oznacza to, że jeśli się zgodzisz, możesz zadzwonić do gospodyni i przedstawić się. Warto zaskarbić sobie jej życzliwość, a osiągniesz to rozwiewając jej ewentualne obawy, że ktoś pragnie przejąć jej kompetencje. Godziny pracy i pensja są jeszcze do ustalenia, lecz podobno pan Van der Beek nie zalicza się do ludzi małostkowych. Będę widział się z nim przy okazji przekazywania kluczy i mam zamiar upewnić się, czy będziesz dobrze traktowana.

- Dziękuję Panie Bennett. Dziękuję panu i panu

Tomkinsowi za waszą życzliwość. Jestem wam bardzo wdzięczna za tę pracę. Pozwoli mi ona zaoszczędzić trochę pieniędzy na okres pomiędzy wyprowadzeniem się pana Van der Beeka a ponownym wynajęciem domu lub jego sprzedaniem. - Uśmiechnęła się. - Czy napije się pan herbaty?

- Nie, moja droga, muszę już wracać. Czeka mnie jeszcze mnóstwo obowiązków. Zadzwonię jutro do twoich ciotek. Będzie kilka dokumentów do podpisania.

- W takim razie, jeśli nie sprawi to panu różnicy, proszę zadzwonić około jedenastej. Czy mogę przekazać ciotuniom to wszystko, co usłyszałam od pana?

- Ależ naturalnie, moje dziecko.

Wstał i pożegnał się, a Patience jak na skrzydłach pobiegła na górę. Chowając upraną bieliznę do szafy myślała o rachunkach, które zostaną zapłacone, i o węglu, którego większy zapas będzie wreszcie można zgromadzić. Rozważała różne warianty pensji za swoją pracę i odganiała od siebie obawy, że gospodyni może się do niej uprzedzić.

Następnie zbiegła do kuchni i zrobiła ciotkom herbatę. Kończyła właśnie ustawiać wszystko na tacy, gdy posłyszała, jak schodzą i otwierają drzwi saloniku.

Kiedy weszła z tacą, odwróciły ku niej pogodne oblicza pogodzonych z losem staruszek. Siedziały przy kominku i stanowiły uroczy widok. Nosiły identyczne fryzury i bardzo podobne ciemnobrązowe sukienki, które nie podlegały dyktatowi mody. Faktycznie były ciotecznymi babkami Patience i jej jedyną rodziną. Kochała je całym swoim gorącym sercem.

Nalała im herbatę i podsunęła biszkopty, za którymi tak przepadały. One zaś, zgodnie z rytualnym zwyczajem, zapytały ją, czy miło spędziła popołudnie.

Przyjęły wiadomość o wynajęciu domu z pełnym godności zadowoleniem. Jeśli jednak chodzi o pracę, to pozwoliły sobie wyrazić pewne zastrzeżenia.

- Nie wydaje mi się, aby to było odpowiednie dla ciebie - zauważyła ciotka Bessy, starsza z dwóch siostr. - To prawie jak bycie służącą.

- Przeciwnie, ciotuniu, to więcej niż bycie sekretarką - pospiesznie zapewniła Patience, a osiemdziesięcioletnia ciotka Polly łagodnym głosem przyznała jej rację.

- Pomyśl, Bessy, jaką to będzie rozrywką dla Patience. Codziennie na kilka godzin wyrwie się z tego domu-więzienia. A poza tym będzie dysponowała własnymi pieniędzmi.

Rozważywszy sprawę, ciotka Bessy poszła na ustępstwo. Następnie obie panie zapewniły o swojej gotowości spotkania z panem Bennettem, który ich zdaniem okazał się człowiekiem godnym szacunku. W końcu przyszała pora na spekulacje na temat lokatora.

- Myślę, że jest to ktoś w podeszłym wieku - powiedziała Patience. - Sądząc z tego, co pan Bennett powiedział o jego umiłowaniu ciszy i spokoju, być może jest nawet strasznym despota. Ale niech będzie sobie, kim chce, skoro płaci wcale okazały czynsz i ma ochotę mnie zatrudnić.

Kiedy na drugi dzień Patience wróciła z zakupów, zastała pana Bennetta pogrążonego w rozmowie z ciotkami. Podała kawę i właśnie chciała opuścić pokój, kiedy poprosił ją, by została.

- Skontaktowałem się z sekretarką pana Van der Beeka w związku z twoją pracą. Dostała już odpowiednie instrukcje i mogła poinformować mnie, że będziesz pracowała od dziesiątej do szesnastej. Niedziele wolne. Jeśli zaś chodzi o wysokość pensji, to można tu mówić wręcz o wielkoduszności...

Wymienił sumę. Patience wyrwał się okrzyk zdumienia.

- Wielkie nieba! To chyba jakaś pomyłka...

- Bynajmniej. Zapewniam cię, że propozycja jest całkiem na serio i bardzo uczciwa. Poza tym przysługuje ci czterdziestopięciominutowa przerwa na lunch, który zapewne będziesz jadła tutaj.

Patience pozwoliła opanować się różnym przyjemnym myślom. Przede wszystkim poprosi panią Dodge, która pracowała już u nich w tamtym domu, by przychodziła tu codziennie na godzinę lub dwie i gotowała obiady. Co do sprzątanía natomiast, to zdąży się z tym uporać przed wyjściem do pracy, a wieczory przeznaczy na pranie i prasowanie.

Kiedy znów usłyszała głos pana Bennetta, skupiła całą uwagę na rozmowie.

- Zostałem poproszony o telefon z potwierdzeniem przyjęcia warunków. Konieczne są też referencje. Jeden list polecający dostaniesz ode mnie, o drugi poproszę pastora Cuthbertsona. Przypilnuję, aby zostały wysłane jeszcze dziś wieczorem. Poza tym sekretarka zasugerowała, byś zadzwoniła do gospodyni i spotkała się z nią zaraz po jej przybyciu z panem Van der Beekiem. I tylko z nią. Pan Van der Beek żadną miarą nie powinien być niepokojony. Jego domownicy mają chodzić dosłownie na paluszkach. Gospodyni jest panną i nazywa się Muren.

- Przerwał i odchrząknął. - Czy nie przykro ci, Patience, że wracasz do swojego starego domu jako ktoś ze sztabu domowników pewnego obcego jego-
mościa?

- Ani trochę - wyznała Patience. Była dostatecznie rozsądna, by nie żałować rzeczy, które się stały i które się nie odstaną.

Konieczność opuszczenia kochanego starego domo-

stwa była dla niej gorzkim przeżyciem, lecz nigdy nie dała poznać po sobie, głównie z uwagi na ciotki, jak bardzo ją to zraniło. Zresztą starsze panie zniosły przeprowadzkę do ciasnego segmentu z cudowną godnością i bez słowa skargi. Ich jedyną troską była Patience. Miała dziedziczyć po nich dom i majątek, a dziedziczyła biedę. Uznały, że ma nikłe szanse na zamążpójście. Po pierwsze, w okolicy było niewiele odpowiednich kawalerów, po drugie zaś Patience nie należała do dziewcząt, które przyciągały uwagę. Miała miły głos i zgrabną figurkę, ale mężczyźni, zdaniem ciotek, uganiają się za kobietami pięknymi lub przynajmniej bardzo ładnymi. Starsze panie smutno kiwały swymi bielusińkami głowami. Poza tym, ich ukochane dziecko zbyt otwarcie i bezpośrednio wyrażało swoje opinie, a wiadomo, że mężczyźni lubią zawłaszczać racje wyłącznie dla siebie. Jej los był więc dla starsuszek największą bolączką. O swoje przyszłe życie martwiła się też Patience, ale zachowywała to w absolutnej tajemnicy.

Nadeszła wreszcie chwila widzenia się z panną Murch i Patience, gotowa do wyjścia, studiowała swoje odbicie w lustrze w sypialni ciotki Bessy. Oceniała, że w plisowanej tweedowej spódnicy, białej bluzce i wełnianym krótkim żakiecie wygląda w sam raz na taką okazję. Wszystkie te rzeczy, oczywiście, zostały kupione przed wiekami, jednak ich jakość i czystość pozostawały bez zarzutu. Patience nigdy nie przesadzała w makijażu, jej gładka jak u dziecka cera nie wymagała upiększeń, więc tylko dyskretnym pociągnięciem szminki dodała ustom barwy. Zeszła na dół i zajrzała do saloniku, aby upewnić się, czy krata kominka, zabezpieczająca węgiel przed wypadnięciem, jest na swoim miejscu. Ciotki smacznie drzemały w fotelach ustawionych w pobliżu kominka. Pogodziły

się wreszcie z długo dręczącą je myślą, że członek rodziny Martinów będzie zatrudniony na opłacanych usługach w swoim własnym domu.

Stary dom dzielił od segmentu tylko kwadrans drogi. Patience ruszyła szybkim krokiem. Minęła wieś i polną aleją doszła do szerokiej bramy. Tu zaczynała się droga dojazdowa. Na widok domu serce Patience wypełniło się bólem i smutkiem. Mieszkała w nim przez jedenaście lat, to znaczy od dnia, kiedy jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Kochała tu każdy kamień, każdą belkę i każdą deskę w podłodze. Początki tego domostwa sięgały szesnastego wieku, a później każde stulecie dokładało coś od siebie, aż wreszcie dom uzyskał obecny kształt, w którym pomieszanie stylów i epok sprawiedliwie zasługiwało na miano bałaganu. Dom ten znajdował się w posiadaniu rodziny Martinów już od stu pięćdziesięciu lat i obie ciotki urodziły się tutaj. A teraz podobno miały do tego miejsca już nigdy nie wrócić, gdyż pan Bennett gorąco doradzał sprzedaż posiadłości.

Patience westchnęła i skierowała się do wejścia dla służby. W niektórych oknach paliły się już światła, a na podjeździe stał granatowy bentley. Zadzwoiła. Drzwi otworzyła pani Croft, znajoma ze wsi. Kiedy ujrzała Patience, twarz jej rozpromienił ciepły i serdeczny uśmiech.

- Ja i pani Perch sprzątamą tutaj od samego rana. Proszę za mną, panno Patience, zaprowadzę panią do panny Murch. - I dodała ostrzegawczym szeptem: - Prawdziwa wiedźma, proszę uważać.

Poszły długim korytarzem wyłożonym kamiennymi płytami i znalazły się w dużej, mrocznej i staromodnie urządzonej kuchni. Olbrzymi porcelanowy zlew i ciężkie kredensy były świadkami życia zapewne niejednego już pokolenia, zaś przy wy-

szorowanym do białości drewnianym stole mogło swobodnie usiąść kilkunastu biesiadników. Pokój gospodyni sąsiadował z kuchnią i pani Croft otworzyła uchylone drzwi.

- Panno Murch, przyprowadziłam pannę Martin.

Cofnęła się, by przepuścić Patience, mrugnęła do niej porozumiewawczo i pośpieszyła do swoich obowiązków.

Pani Croft oraz inni mieszkańcy wioski zostali uprzedzeni, że związek Patience ze starym domostwem ma okrywać zasłona milczenia. Chętnie na to przystali, tym bardziej że nowy lokator zamieszkał tu tylko na pół roku i był cudzoziemcem. A już ta jego gospodyni, o ile mogli cokolwiek sądzić na podstawie przelotnej obserwacji, musiała być jakąś straszliwą sekutnicą.

I faktycznie, twarz, którą Patience ujrzała przed sobą, odbierała wszelką nadzieję. Panna Murch była kobietą wysoką i kościstą, ubraną w surową czerń. Jej poprzetykane siwizną włosy splecione były w warkocz, zwinięty w coś w rodzaju obwarzanka i przytłoczony na szczycie głowy grubymi szpilkami. Miała wąskie bezkrwiste usta, ostry nos i ciemne oczy. Mogłaby zagrać z powodzeniem rolę czarownicy z bajki i straszyć małe dziewczynki. Patience na sekundę poczuła się właśnie taką małą dziewczynką. Niemniej powiedziała uprzejmym tonem:

- Dobry wieczór, panno Murch.

- A więc to ty jesteś tą młodą osobą, rekomendowaną mi w listach od adwokata i pastora. - Przebiegła wzrokiem po jednym i drugim dokumencie. - Widzę, że nosisz to samo nazwisko, co właściciele domu.

Przerwała i spojrzała na Patience.

- W tych stronach jest ono dość popularne, panno Murch.

. - Zakładam, że sekretarka pana Van der Beeka poinformowała cię wstępnie o twoich obowiązkach. Po szczegółowe instrukcje będziesz zwracała się do mnie. Pracuję już wiele lat w domu mojego chlebodawcy i znam dokładnie jego wymagania. Odstępstwa od tej reguły nie będą tolerowane. Oczekuję od ciebie całkowitego oddania się pracy w wyznaczonych godzinach. Wysokość twojego uposażenia jest ci znana, więc tylko dodam, że będzie ci wypłacane co tydzień. Masz odbierać telefony, zapobiegać wszelkiego rodzaju próbom niepokojenia pana Van der Beeka i realizować zamówienia u miejscowych kupców. Niewykluczone, że od czasu do czasu będziesz musiała włączyć się w prace domowe. Jak wiesz, sprowadziliśmy się tutaj tylko na sześć miesięcy, niemniej konieczna będzie modernizacja łazienek i kuchni.

Ten szorstko wyrażony wyrok na tradycyjne wnętrza domu i jego pamiątki wstrząsnął Patience do głębi.

- Wiem, że wszystko tu jest stare, ale... ale, jak słyszałam, służy dobrze swym celom.

Panna Murch parsknęła z wyżyn swej nieomyślności.

- Chciałabym, żebyś miała rację. Cóż, na tym skończymy. Oczekuję cię w poniedziałek o dziesiątej. Korzystaj z bocznych drzwi. Życzę dobrego dnia, panno Martin.

Znienawidzę tę pracę, pomyślała Patience w drodze powrotnej do domu. Ale zaraz zreflektowała się. Ostatecznie pół roku prędko przeminie, a pensja jest wręcz oszałamiająca.

W niedzielę rano powinna jak zawsze pójść z ciotkami do kościoła, tym razem jednak wymówiła się. Czekała sterta bielizny do prasowania, trzeba też było przygotować lunch i wysprzątać mieszkanie. Kiedy więc msza się skończyła i starsze panie wróciły do domu, wszystko zgodnie z planem było już zrobione. Popołudnie należało do niej.

Po zmyciu naczyń ubrała się w elegancki prochowiec, relikw z dawnych lepszych dni, nałożyła chustkę na głowę i opuściła dom. Zamierzała pójść na długi spacer daleko poza wioskę, powłóczyć się rzadko uczęszczanymi polnymi ścieżkami. Był wietrzny, burzliwy dzień. Wiatr wznosił się i słabł na przemian, niosąc w porywach krople deszczu. Mieszkańcy wioski oglądali o tej porze telewizję lub grzali się przy kominkach. -

Szła różnym krokiem, stawiając czoło podmuchom wiatru. Minęła stare domostwo i skręciła na polną drogę, która wiodła do odległej o kilka kilometrów sąsiedniej wioski. Ale Patience nie zamierzała zapuszczać się aż tak daleko. Kilometr dalej znajdowała się krzyżówka, gdzie wystarczyło skręcić w lewo, aby dojść do innej drogi, która doprowadzi ją z powrotem do domu i ciotek. Pamiętała o nadciągającym zmierzchu i konieczności zrobienia ciotkom na czas herbaty. Błoto czepiało się jej kaloszy, ale nie zwracała na to uwagi. Myśli o pracy całkiem przesłoniły zimowy krajobraz ogołocionych pól.

Wreszcie ktoś będzie dbał o stare domostwo. Panna Murch nie wyglądała na osobę, która tolerowałaby niechlujstwo i opieszałość. Skoro pan Van der Beek miał być bez reszty pochłonięty pisaniem książki, dobrze się stało, że przyjechał z gospodynią o wzroku jastrzębia. Zaczęła bawić się w wyobrażanie sobie wyglądu lokatora. Gruby, prawdopodobnie łysy, nosi okulary, w średnim wieku, mówi z wyraźnym akcentem. Szkoda, że nie miała szans na poznanie go. Panna Muren była zdecydowana nikogo nie dopuszczać do swego chlebobawcy.

Po obu stronach drogi zieleniła się płaciami pszenica ozima. Okolone żywopłotami lub niskimi murkami pola uprawne ciągnęły się aż po sam horyzont

i stykały z ołowianym niebem. Rozrzucone tu i ówdzie farmy zakłócały w jakimś stopniu monotonię pustki. Patience kochała ten krajobraz i kochała ludzi mieszkających w Themelswick. Znała tu wszystkich z imienia i nazwiska. Niegdyś wraz z rodzicami mieszkała w Sheringham, gdzie jej ojciec był lekarzem. Ale latem całą rodziną przyjeżdżali do ciotek. Po śmierci rodziców ciotki przejęły nad nią opiekę i umieściły na renomowanej pensji dla dziewcząt. Kosztem ogromnych wyrzeczeń przebywała tam nawet wówczas, gdy ich majątek stopniał na skutek bankructwa niemal do zera. Gdy ukończyła szkołę, nie sposób już było dalej utrzymywać domostwa. Wynajęły je, a same przeniosły się do segmentu. Lokatorzy zmieniali się, a ona wciąż powtarzała ciotkom, że los na pewno odmieni się i wróci jeszcze na stare rodzinne pielesze. Mówiła to głównie w celu utrzymania pewnej higieny duchowej, a nie dlatego, że ciotki skarżyły się. Były na to po prostu zbyt dumne.

Patience szła teraz wzdłuż żywopłotu, gdy nagle w krzakach rozległ się szelest i na drogę wyskoczył niewielki pies. Był cały mokry i raczej niewiadomej rasy. Nie wydawał się jednak bezpański. Przeciwnie, sprawiał wrażenie dobrze odżywionego, co potwierdzała zresztą jego wesołość. Zaczął wokół niej baraszkować i skomlać wspinać się przednimi łapami na jej nogi. Nachyliła się i ujęła za blaszkę przyczepioną do jego obroży.

- Basil - przeczytała. - Cóż za miłe imię dla miłego psa.

Zwierzę liznęło ją po wilgotnym policzku, ona zaś pogłaskała je po mokrym łbie. Ale na tym skończyły się ich pieszczoty. Rozległ się gwizd i psa już nie było. Nie minęła jednak chwila, gdy zza żywopłotu wyszedł właściciel Basila, olbrzymi mężczyzna w gru-

bej kurtce i sztruksowych spodniach wpuszczonych w kalosze.

- Dzień dobry - powitała go. - Ma pan bardzo miłego psa.

Ten człowiek na pewno nie był z tych stron. Mógł być natomiast gościem któregoś z farmerów. I niewątpliwie był bardzo przystojny.

Jego „dzień dobry” zabrzmiało wprawdzie dość uprzejmie, jednak nie padły po nim żadne dalsze słowa. Mężczyzna wyminął ją i poszedł swoją drogą; Basil pobiegł za nim. Patience przez chwilę obserwowała człowieka i psa, po czym podjęła szybki spacer. Zapadał zmierzch i musiała się spieszyć.

Kiedy wpadła do domu, ciotki już obudziły się i z niepokojem czekały na herbatę. Wróciła więc do swojej zwykłej krzątaniny i dopiero wieczorem w łóżku znalazła wolną chwilę, by poświęcić spotkaniem nieznanemu krótką myśl. Gdyby nie był taki małomówny, pomyślała zasypiając, mógłby być całkiem interesującym mężczyzną.

W poniedziałek rozpoczął się nowy i dziwny etap jej życia. Tuż przed dziesiątą weszła, jak to było ustalone, bocznymi drzwiami dla służby i stawiała się przed gospodynią. Wysłuchawszy poleceń, uznała, że wiele spraw wymaga jej natychmiastowej interwencji. Węgiel nie został jeszcze dostarczony, mleczarz źle wykonał zamówienie, a do niesprawnego generatora prądu trzeba było wezwać elektryka. Uporawszy się z najważniejszymi rzeczami, sporządziła listę sklepów we wsi, a następnie została wysłana przez panią Murch do ogrodu, aby odszukać Neda Grooma i zapytać go, dlaczego nie przyniósł jeszcze warzyw.

- Nudne stare babsko - zareagował Ned, gdy go znalazła w rozpadającej się cieplarni, kopiącego grządki. - Dostałaby je przecie na czas.

- Oczywiście, Ned - powiedziała Patience uspokajającym tonem. - Nie przerywaj sobie pracy, tylko po prostu powiedz mi, co mam zabrać.

- Wszystkiego po trochu, panienko. Główkę białej kapusty, marchew, jarmuż i pory. Wyglądają byle jako, ale co się dziwić, jeśli przez taki kawał czasu nikt o nie nie zadbał.

Kiedy wносиła z cieplarni warzywa, Ned ciągle jeszcze gderał do siebie pod nosem.

Godziny mijały niepostrzeżenie. W porze lunchu pobiegła do domu. Zdażyła przyrządzić i podać ciotkom omlet, ale już sama nie miała czasu na zjedzenie posiłku. Wracając do pracy, po raz drugi przyrzekła sobie solennie, że gdy tylko dostanie pierwszą wypłatę, rozmówi się z panią Dodge, aby wzięła na siebie przygotowywanie południowych posiłków.

Popołudnie spędziła towarzysząc pannie Muren w obchodzie wszystkich pięt i zakamarków domostwa, notując uwagi gospodyni dotyczące wymiany, reperacji lub przesunięcia na inne miejsca poszczególnych sprzętów i elementów wyposażenia. Patience, która mieszkając tu używała drewnianych łyżek i staromodnych trzepaczek do ubijania piany, nie mogła się nadziwić szaleństwu panny Murch na punkcie elektrycznych robotów kuchennych. Te wszystkie zmiany i modernizacje były bardzo kosztowne i oczywiście płacił za nie pan Van der Beek. Cóż, skoro było go na to stać...

Jak dotąd, nie dawał znaku życia. Drzwi do gabinetu po drugiej stronie holu pozostawały zamknięte na głucho. Oczywiście nie oznaczało to, że nie opuszczał swego miejsca pracy, po prostu Patience, zarzucona obowiązkami i poleceniami, nie miała dotąd okazji natknąć się na niego.

Tego dnia ostatnimi jej czynnościami było przygo-

towanie kanapek, upieczenie owocowego ciasta w pro-
dżu i naparzenie herbaty w czajniczku. Panna Murch
wyraziła swoją aprobatę.

- Jutro dysponować będziemy czajniczkiem elekt-
rycznym - dodała.

Opowiadając ciotkom o wydarzeniach minionego
dnia, Patience nagle uświadomiła sobie, że była
poddana przez pannę Murch szczególnej próbie.
Gospodyni napawała lękiem tylko przy pierwszym
kontakcie; przy bliższym poznaniu nie była wcale
taka straszna.

W połowie tygodnia Patience zyskała wreszcie jasne
rozeznanie w swoich obowiązkach. Przede wszystkim
ktokolwiek dzwonił, próbując skontaktować się
z panem Van der Beekiem, miała pełne prawo
odpowiadać tej osobie, że pan Van der Beek albo
wyszedł właśnie z domu, albo jest w łazience, albo ma
ważne spotkanie ze swoim wydawcą. Jednym słowem,
postępowała zgodnie z otrzymaną instrukcją po-
zbywania się intruzów. Ich nazwiska notowała na
kartce papieru, którą przed wyjściem do domu
pozostawiała na tacy z herbatą.

Co się zaś tyczy pana Van der Beeka, to jego
książka w mozole i pisarskim trudzie posuwała się
naprzód. Po czterech dniach pracy leżały przed nim
na biurku zarysy pierwszego rozdziału. Rankami,
nim jeszcze którakolwiek z zatrudnionych osób
pojawiała się w domu, wychodził z psem na spacer.
Powtarzał ten spacer wieczorami. Domem nie in-
teresował się. Ale dzisiaj wyjątkowo zapragnął rozejrzeć
się wokół siebie.

Był zimny, wilgotny ranek. Pan Van der Beek
poszedł do kuchni i poprosił o kawę. Czekając, aż
panna Murch ją zaparzy, wycofał się do holu, gdzie
pierwszą rzeczą, jaka przykuła jego wzrok, okazał się
wazon z bukietem suszonych kwiatów. Róże, hortensje,

trawy i osty tworzyły piękną barwną kompozycję. Panna Murch, niezastąpiona gospodyni, nie należała do osób, które marnowałyby czas na zajmowanie się kwiatami. Któż więc je tu postawił? Nagle dobiegło jego uszu jakieś poruszenie i pan Van der Beek odwrócił głowę. Zdołał zobaczyć tylko szarą sukienkę znikającą w drzwiach jadalni. Właściwie mógł ulec wzrokowemu omamowi, tak szybko to się stało. Wzruszył ramionami, wrócił do kuchni i wypił przygotowaną kawę. Przemierzał właśnie hol w kierunku gabinetu, gdy natknął się na Patience.

ROZDZIAŁ DRUGI

Basil pierwszy zareagował. Puścił się ku Patience i powitał znaną już sobie osobę merdaniem ogona i radosnym skomleniem. Pochyliła się i poklepała psa po łbie i karku. Natomiast pan Van der Beek wydawał się cokolwiek zbity z tropu.

- Ach, tak - odezwał się chłodno - Basil pamięta panią. - Słowa te sugerowały, że w jego przypadku jest akurat odwrotnie. - Zdaje się, że to panią polecił mi pan Bennett.

Jego zimne spojrzenie nie należało do najprzyjemniejszych, ale Patience nie miała zamiaru zachować się jak zmieszana dziewczynka.

- Tak, panie Van der Beek. Nazywam się Patience Martin. - I dodała z nutką sympatii: - Spotkaliśmy się na polnej drodze w niedzielne popołudnie.

- Doprawdy? - zapytał, po czym dorzucił odchodząc: - Przepraszam, ale nie mogę przeszkadzać pani w pracy.

Odniosła wyczyszczone srebro stołowe do kredensu w jadalni i wróciła do kuchni, by sporządzić listę produktów, które panna Murch chciała mieć na jutro.

- Powiedz rzeźnikowi, że oczekuję wołowiny bez jednej żyłki i chrząstki. Jeśli nie ma takiej, to niech daruje sobie przysyłanie czegokolwiek innego.

W drodze powrotnej do domu Patience wstąpiła do sklepu mięsnego, by zgodnie z poleceniem ostrzec rzeźnika.

- Wiem, że ma pan mięso w najlepszym gatunku, lecz gospodyni to taka istota, która znajdzie niedoskonałość we wszystkim. Wątpię, by odpowiadało jej życie poza Londynem.

Pan Crouch oparł łokcie na ladzie.

- Pytanie, czy w ogóle można polubić życie na prowincji. Weźmy na przykład tę paskudną pogodę, Śnieg i nieprzyjemny wschodni wiatr. Przewiduję, że panna Murch długo jeszcze nie wytknie nosa na dwór.

Rzeźnik był znany ze swoich prognoz pogody.

- Chce pan powiedzieć, że zapowiada się jakaś poważniejsza śnieżycą z wichurą?

- Wyjęła mi to panienka z ust. Cofnijmy się zresztą do zimy przed czterema laty. Byłyście odcięte od świata niemal przez cały tydzień.

- Przecież z naszego starego domu do wsi jest tylko niecały kilometr?

- W przypadku dwumetrowych zasp to tak, jakby było sto kilometrów. - Pan Crouch sięgnął pod ladę.

- A to proszę przyjąć dla szanownych pani cioteczek, zapakowałem dwa piękne kotleciki.

Na drugi dzień Patience poruszyła z panną Murch temat możliwego pogorszenia się pogody. Gospodyni dowierzała tylko prognozom naukowym i szybko przeszła do spraw domowych.

- Przynieś mi ze szklarni marchewkę. Pan Van der Beek przepada za marchewką.

Patience w głębi duszy wątpiła, by pan Van der Beek przepadał akurat za czymś tak pospolicym, jednak, ma się rozumieć, wzięła koszyk i poszła do ogrodu. Ned ponurym i zrzędlwym głosem potwierdził przewidywania pana Croucha.

- Gospodyni twierdzi, że tego rodzaju ludowe prognozy są nic nie warte.

Ned zbył stanowisko panny Murch ironicznym parsknięciem.

- Tyle się na tym zna, co na uprawie warzyw. -1 pieśczośliwie pogładził trzymaną w ręku wspaniałą cebulę. - Zapamiętaj moje słowa, panienko...

Patience, która bardziej ufała intuicji i spostrzegawczości Neda i pana Croucha niż naukowej rutynie speców od pogody, powróciła raz jeszcze w rozmowie z panną Muren do tego tematu.

- Ten dom już raz był odcięty od świata podczas wielkiej śnieżyicy - powiedziała, pomijając milczeniem fakt, że wraz z domem była odcięta ona i jej ciotki.

- A po co są pługi śnieżne? - retorycznie zapytała gospodyni. - Themelswick być może leży na końcu świata, ale przypuszczalnie znany jest służbom publicznym.

Rozległ się dzwonek u drzwi frontowych. Patience wstała, by otworzyć.

Człowiek, którego ujrzała za progiem, oferował usługi glazurnicze i spytał o właściciela domu.

- Nie ma go, wyjechał na kilka dni. - Patience wciąż trudno było przyzwyczaić się do tego rodzaju wykretów. - Lecz gdyby miał pan zamiar wrócić tu ponownie, proszę najpierw upewnić się telefonicznie. Właściciel rzadko bywa w domu.

Jakby chcąc zamazać to łgarstwo, uśmiechnęła się do znajomego możliwie najmilej. Wyglądał na kogoś, kto oddałby królestwo za szklanekę gorącej herbaty. Dosłownie szczękał zębami.

- Proszę spróbować na plebanii, oczywiście jeśli jeszcze pan tam nie zachodził...

Domokrażca serdecznie podziękował i pożegnał się. Patience wiedziała, że pastora nie stać na glazurę, lecz z drugiej strony była pewna, że nie puści rzemieślnika bez szklanki herbaty. Oferowanie w styczniu usług glazurniczych nie było najlepszym sposobem zarabiania na życie. Pomyślała o panu Van der

Beeku, bezpiecznym w przytulnej twierdzy swojego gabinetu, dostającym regularnie smaczne posiłki i zarabiającym astronomiczne sumy samym tylko siedzeniem przy biurku i pisaniami.

Pan Van der Beek faktycznie siedział przy biurku, ale w tej chwili nie pisał. Myślał o panie Martin, zatrudnionej w tym domu do wszelkich posług. Wygląda jak myszka, a w dodatku ubiera się w sukienki mysiego koloru. Owszem, ma piękne oczy, a takimi długimi i gęstymi rzęsami nie mogły się pochwalić nawet aktorki filmowe. Przyjemnie też było słuchać jej melodyjnego głosu...

Wtem chwycił za pióro i wyrzucił pannę Martin ze swych myśli.

Następnego dnia Patience zaszła do szklarni i zastała starego Neda przy segregowaniu warzyw. Znowu postraszył ją śniegiem. Nie sprzeczała się. Pogorszenie pogody widoczne już było gołym okiem. Ze wschodu, gnane wiatrem, nadciągały ciemne chmury-

- Sypnie jeszcze dzisiaj - dorzucił złowrogo.

Właściwie już sypnęło. Kiedy wstała z łóżka i wyrzała przez okno, dachy i ulice pokrywała cienka warstwa białego puchu. Na szczęście pani Dodge była już umówiona do ciotek. Mieszkała dosłownie przez płot, więc będzie mogła przyjść bez względu na pogodę. W porannych komunikatach wspomniano o niewielkich opadach śniegu we wschodnich hrabstwach Anglii, ale nic o klęsce żywiołowej, którą prorokował stary Ned. Tymczasem żółte prześwity między czarnymi chmurami i wściekłe podmuchy wiatru faktycznie nie wróżyły najlepiej. Tym milej było wejść do kuchni i delektować się zapachem smażonego bekonu, który unosił się w powietrzu po śniadaniu pana Van der Beeka. Zresztą panna Muren tym razem przyznała, aczkolwiek

zrobiła to niechętnie, że niebo tego ranka nie bardzo jej się podoba.

Prószło przez cały dzień, lecz jak na razie śnieżycy nie atakowała. Panie Croft i Perch przyszły i odeszły, pozostawiając dom wysprzątnany i pachnący pastą. Doprawdy, nie chciało się opuszczać ciepłych i przytulnych wnętrz.

Patience o czwartej pożegnała się z panną Murch i udała się w drogę powrotną do domu. Urodzona i wychowana na wsi, swoim małym noskiem wyczuwała nadchodzącą zadymkę. Wstąpiła do masarni, gdzie kupiła ładny kawałek befsztyka i poćć bekonu. Gdy wychodziła ze sklepu, zobaczyła sunącego z poszumem bentleya. Jechał w kierunku domostwa. A zatem pan Van der Beek nie spędził dzisiejszego dnia w swoim gabinecie. Marszcząc czoło pomyślała o sobie i tamtych kobietach, jak poruszały się możliwie najciszej i mówiły szeptem, aby tylko mu nie przeszkadzać. Okazuje się, że tym razem odgrywały role w jakimś teatrze.

Odprowadzała wzrokiem oddalający się wóz, a z kolei pan Van der Beek patrzył na jej malejącą postać w bocznym lusterku. Doprawdy, pomyślał nieco poirytowany, ta dziewczyna w ubieraniu się nie wykazuje za grosz gustu i smaku.

Następnego dnia wciąż sypało śniegiem, a niebo przybrało złowieszczy siny kolor. Wiatr wzmógł się i tworzył wiry śnieżne, pędzące we wszystkich kierunkach. Patience czuła lekki niepokój.

Pogarszająca się pogoda wydawała się w ogóle nie absorbować mieszkańców domostwa. Patience, która nie wiedziała, że pan Van der Beek wychodził z psem na poranny spacer, pomyślała, że pewnie nie ma on pojęcia, jak wietrznie i arktycznie może być o tej porze roku w hrabstwie Norfolk. Co się zaś tyczy panny Murch, to interesowało

ją w tej chwili wyłącznie robienie pomarańczowej marmolady.

Z godziny na godzinę śnieg bił tumanami z coraz większą siłą. Pani Croft i pani Perch skończyły pracę wcześniej, tłumacząc się koniecznością odebrania dzieci ze szkoły, w której ze względu na pogodę zarządzono dziś skrócone lekcje. Patience, patrząc przez okno na przewalającą się po polach zadymkę, zdecydowała, że nie pójdzie na lunch do domu. Było niemożliwością wrócić w tych warunkach w przeciągu trzech kwadransów.

Około południa ściemniło się, a wiatr był potępieńczo przy węglach domostwa. Zasuwając na polecenie gospodyni zasłony, Patience widziała na dworze inną nieprzenikalną zasłonę z wirujących płatków. Światło zaczęło mrugać, więc rozstawiła w strategicznych punktach świece wraz z zapałkami.

Gdy ustawiała na stoliku w holu bogato zdobiony kilkuramienny kandelabr, nadeszła panna Murch i rzuciła cierpką uwagę, że robi to z taką wprawą, jak gdyby znajdowała się już tutaj w podobnej sytuacji.

Dzień pracy minął i Patience ubrała się do wyjścia. Zamknęła za sobą drzwi i w tej samej chwili pod naporem wiatru i śniegu straciła oddech. Droga dojazdowa zmieniła się w podgórski krajobraz ze wzniesieniami i kotlinami, a cóż dopiero można było powiedzieć o zaspach na niewidocznym stąd polnym trakcie. Oślepiąca śnieżną i wychłostana wiatrem, wycofała się z powrotem do środka.

- Musisz pozostać tu na noc - oznajmiła panna Murch, patrząc na jej pobielełe od śniegu wierzchnie ubranie. - Zadzwoń do domu i uprzedź o tym swoją rodzinę.

- Nie mamy telefonu. Ale moje ciotunie nie będą się niepokoiły. Wiedzą, że w takich warunkach jestem tu praktycznie odcięta od nich.

Przez następne pół godziny światło przygasało, to znów wracało do normalnego natężenia, aż wreszcie całkiem zgasło. Patience, z naftową lampą w ręku, którą jej ciotki trzymały zawsze na najbardziej widocznym miejscu, obeszła dom i zapaliła wszystkie uprzednio przygotowane świece. Oświetlona żywymi płomykami jadalnia wyglądała wyjątkowo przytulnie i nastrojowo. Rozległ się podniesiony głos pana Van der Beeka, który siedział jak na razie tylko w świetle bijącym od kominka i był skazany na bezczynność. Nie poprawiło to bynajmniej jego humoru. Patience pobiegła więc do przechowalni za kuchnią po drugą lampę naftową, a kiedy doktor przeszedł do jadalni na obiad, wślizgnęła się do gabinetu i postawiła ją na biurku.

Blat biurka zarzucony był papierzyskami i książkami. Jak, na Boga, pomyślała, mógł on w tym bałaganie odszukać cokolwiek?

Do kolacji zasiadła z panną Murch godzinę później. Z wyrazem uprzejmego zainteresowania na twarzy słuchała ekstatycznych zachwyków gospodyni nad komfortem i wygodą domu pana Van der Beeka w Londynie.

- Ma również dom w Holandii. Wyjeżdża tam od czasu do czasu. Jak zapewne wiesz, doktor jest szeroko znany ze swoich osiągnięć medycznych.

Przed udaniem się na spoczynek, Patience zmyła jeszcze naczynia, podczas gdy panna Murch śpiewała hymny pochwalne na temat automatycznej zmywarki, która, ma się rozumieć, stanowiła część nowoczesnego wyposażenia kuchni w londyńskim domu pana Van der Beeka.

Wiatr skowyczał na dworze, a mróz wymalował na szybach prawdziwe bajkowe ogrody. Kładąc się do łóżka, Patience postawiła na stoliku obok

budzik nastawiony na siódmą. Nie czekała długo na sen.

Obudziły ją w środku nocy jakieś rytmiczne odgłosy. Po chwili wiedziała już, że to okiennica trzaskała o mur. Leżąc próbowała ustalić, w którym to mogło być pomieszczeniu, i doszła do wniosku, że najprawdopodobniej w spiżarni. Trzeba było iść i zobaczyć, czy to tylko kwestia obluźowanego haczyka czy też coś poważniejszego. Zapaliła świeczkę i ochraniając płomień dłonią wyszła na korytarz. Zza drzwi sypialni panny Murch dobiegło ją przeciągłe chrapanie. Cichutko zeszła po schodach, przemierzyła hol i znalazła się w kuchni.

Pan Van der Beek, którego głębokiego snu nie zdołały zakłócić pogwizdy wichru, został przebudzony przez coś, co przypominało walenie kijem w ścianę domu i powtarzało się w regularnych odstępach. Założył szlafrok i oświetlając sobie drogę latarką skierował się ku schodom. Właśnie kładł dłoń na poręczu, kiedy zobaczył w holu wędrujący płomyk, a w jego blasku profil Patience. Weszła do kuchni, on zaś zszedł po schodach. Stał w drzwiach, kiedy głaskała leżącego przy piecu i zwiniętego w kłębek Basila.

Miał oto przed sobą scenę godną niemej komedii. Koszula nocna panny Murch okrywała Patience od brody po pięty i jeszcze wlokła się po ziemi rozłożystym trenem. Z o wiele za długich rękawów wyłaniały się dłonie, małe jak u dziecka. Patience wydawała się w tym swoim zbyt dużym kostiumie drobną dziewczynką.

Pan Van der Beek kulturalnym kasznięciem dał znak swej obecności.

Patience o mało nie upuściła świecy. Odwróciła się ku niemu i powiedziała surowym tonem:

- Mogłam z przestachu zacząć krzyczeć, panie doktorze.

- Och, nie, nie należy pani do kobiet, które krzyczą lub chowają głowę pod poduszkę. To chyba otwarta okiennica robi ten hałas?

- Tak, myślę, że w spiżarni.

Wkrótce, dzięki pomocy doktora, okiennica została zamknięta, a haczyk zabezpieczony drutem.

- Jestem przemarznięty do szpiku kości - wyznał pan Van der Beek, który przez jakiś czas wystawiony był na wiatr i mróz. - Zanim więc wrócimy do łóżek, wypijmy coś ciepłego.

- Dobra myśl, tylko... - Dopiero w tym momencie Patience uświadomiła sobie swój wygląd, jego śmieszność i niestosowność. - Chciałam powiedzieć, że nie mam szlafroka...

Mimo rumieńca, spoglądała dość śmiało.

- Proszę mi wierzyć, panno Martin, żaden szlafrok nie okryłby pani tak szczelnie, jak ta rzecz bez nazwy, którą ma pani teraz na sobie i w której rozpoznaję garderobę panny Murch.

Wrócili do kuchni i pan Van der Beek zapalił gaz pod czajnikiem. Patience wyjęła z kredensu cukier i mleko oraz rozstawiła filiżanki.

- Jest pani tak zaprzyjaźniona z tym domem, tak swobodnie się tutaj czuje - w pewnej chwili odezwał się pan Van der Beek - że pozwolę sobie zapytać, czy dom ten niegdyś należał do pani rodziny?

W oczach Patience odbiło się zdumienie.

- Skąd pan to wie? Nie miałam zamiaru oszukiwać pana... Pan Bennett uznał, że przyda się panu osoba znająca tu wszystkie kąty, a także okolicznych mieszkańców...

- Nie widzę powodów, bym miał przyjmować od pani jakieś usprawiedliwienie czy też przeprosiny.

Wybór pana Bennetta akceptuję bez zastrzeżeń. Czy muszę zwracać się do pani po nazwisku?

- Ależ skądże... Mam na imię Patience.

- A te dwie kobiety, które przychodzą tu do sprzątanania, czy one znają ciebie?

- Oczywiście. Sprzątały tu również dawniej, kiedy jeszcze moje ciotunie mieszkały w tym domu. Od pewnego czasu całkiem dobrze radzimy sobie same.

- Twoje ciotki, zdaje się, są już w podeszłym wieku?

Specjalnie poruszył tę kwestię i bardzo był ciekaw odpowiedzi.

- Ale teraz mamy mniej pokoi - odrzekła na poły buntowniczo, na poły wymijająco.

Uśmiechnął się.

- Znosi się chyba na to, że zostaniemy tu przysypiani?

- Również tak sędzę. Pługi na pewno przybędą, lecz muszą najpierw odśnieżyć główne drogi.

Wlał zagotowaną wodę do czajniczka z herbatą.

- A więc przez kilka najbliższych dni będziemy odcięci od wioski?

- Pana nie powinno to chyba przerażać. Przecież oczekiwał pan po tym miejscu ciszy i spokoju. A teraz ani nie zadzwoni telefon, bo pewnie linia została zerwana, ani listonosz nie zapuka do drzwi.

- Interesująca perspektywa. Mam przynajmniej nadzieję, że będzie czym palić.

Kiwnęła głową i poinformowała go głosem praktycznej gospodyni:

- Proszę nie obawiać się. Kazałam staremu Nedowi narąbać i nanieść drewna do schowka na opał. Węgla też nie powinno zabraknąć. Gdyby jednak pługi długo nie przyjeżdżały, możemy ostatecznie przenieść się do kuchni.

Pan Van der Beek westchnął głęboko. Wspólne

życie w kuchni nie uśmiechało mu się, a poza tym zostałyby oderwany od swojej książki. Popsuło mu to humor i wypił herbatę w milczeniu. Kiedy zaś zauważył, że Patience durni ziewanie, przypomniał sobie, że to on propozycją wypicia czegoś gorącego przedłużył jej nocne czuwanie.

- Wracaj do łóżka, Patience, a ja pogaszę świece.

Życzyła mu dobrej nocy, po czym zebrawszy jedną ręką tren nocnej koszuli, poszła do swojej sypialni. Była tak zmęczona, iż zasnęła z chwilą przyłożenia głowy do poduszki.

Obudziła się o szarym świcie i wyjrzała przez okno. Śnieg sypał nieprzerwanie i kłębił się w podmuchach wiatru. Ubrała się, uczesała i zeszła do kuchni, gdzie rozpoczęła krzątanie od rozpalenia w piecu. Następnie nastawiła wodę na herbatę. Zauważyła, że Basil gdzieś zniknął, ale zaraz usłyszała jego szczekanie. Dochodziło gdzieś z dworu. Otworzyła boczne drzwi wychodzące na ogród. Mroźne powietrze owionęło jej twarz i wdarło się do płuc. Czekąca ją też pewna niespodzianka. Oto pan Van der Beek, machając szuflą, przekopywał wąską ścieżkę do drewnutni. Praca ta najwidoczniej sprawiała mu przyjemność, gdyż odrzucał śnieg z szybkością i skutecznością pługą. Był ubrany w luźny gruby sweter i spodnie wpuszczone w kalosze. Nie wyglądał w tej chwili na pisarza, gdyż pisarze nie mają takich szerokich ramion, ani na budzącego postrach człowieka, który wymagał od innych chodzenia na palcach.

Kiedy Basil witał ją na swój sposób, pan Van der Beek, nie odwracając się, rzucił przez ramię:

- Napiłbym się herbaty...

- Zapraszam w takim razie do środka. A buty proszę ostukać i zostawić na wycieracze.

Nie czekając na odpowiedź, wróciła do kuchni

i zajęła się herbatą. Po chwili wpadł Basil, a za nim, w samych tylko skarpetkach, wkroczył jego pan.

- Zaniosę tacę do gabinetu - zaproponowała.

- Chyba jednak nie zaniesiesz. Jest tam zimno jak w psiarni. Wypiję herbatę tutaj. Co z panną Murch?

- Na pewno zaraz pojawi się, by przygotować panu śniadanie.

Jakby na potwierdzenie tych słów, w drzwiach stanęła gospodyni. Jej „dzień dobry, panie Van der Beek” zabrzmiało wręcz lodowato, lecz wydawało się, że umknęło to jego uwadze.

- Idę teraz ogolić się - zwrócił się do niej z czarującym uśmiechem. - A śniadanie zjem tutaj, bo jest to jedyne miejsce w domu, gdzie człowiek nie zmarznie. Będę za dwadzieścia minut.

Wypił duszkiem herbatę, gwizdnął na Basila i odszedł.

- Przygotowałam cały dzbanek herbaty - powiedziała Patience - więc może napije się pani, póki jest gorąca? W piecu już pali się, a pan Van der Beek przekopał ścieżkę do drewni, abyśmy nie mieli kłopotu z opałem. Czy mam teraz zacząć od rozpalenia kominka w gabinecie?

- Oczywiście. Zanim pan Van der Beek ogoli się i zje śniadanie, pokój zdąży się nagrzać, co tym samym umożliwi mu przystąpienie do pracy.

Panna Murch powiedziała to wszystko tonem, jakby usprawiedliwiała się, że nie zadbała dzisiaj, aby w stołowym i gabinecie już trząsał ogień i aby nie trzeba było chronić się przed zimnem do kuchni.

Patience założyła fartuch, wzięła kubek, szufelkę, papier i drzazgi na rozpałkę i przeszła do gabinetu. Rozwidniło się, choć ciemne chmury nie przepuszczały

wiele światła. Rozsunęła zasłony. Śnieg leżał tak grubą warstwą na parapecie, że trzeba było wspinać się na palce, by móc wyrzeć na dwór.

Rozpałała ogień. Wesoło strzelające w górę płomienie na moment zahipnotyzowały ją.

Wszedł pan Van der Beek.

- Co, u diabła, tu robisz?

Spojrzała z bezmiernym zdumieniem w oczach. Język i ton tego pytania nie pasowały do niego.

Odpowiedziała głosem, jakim tłumaczy się małemu dziecku pozornie zawiłą, ale faktycznie bardzo prostą rzecz.

- Upewniam się, czy polana na dobre się zajęły.

- To widzę. Ale dopóki nasze życie w tym domu nie wróci do normy, ja będę rozpałał ogień, przynosił opał i wygarniał popiół.

Tym razem w oczach Patience pojawiło się zainteresowanie.

- A czy chociaż umie pan to wszystko robić a nie zrażając się jego chłodnym wzrokiem dodała:

- Och, proszę tak na mnie nie patrzeć. Nie chciałam być niegrzeczna. Po prostu może pan tutaj przeżyć te pół roku nie kiwnąwszy nawet palcem.

- Myślisz o mnie jak o leniu i obiboku?

- Jestem najdalsza od takich myśli, ale mam oczy. I widzę nimi, że jeździ pan luksusowym samochodem i w ogóle żyje jak człowiek sukcesu. Poza tym domyślałam się, że ma pan wielu przyjaciół, z którymi spędza wieczory w teatrze i tak dalej.

Pan Van der Beek, bałwochwalczo czczony przez swoich studentów, niestrudzenie oddany swej pracy i pacjentom, szczerze rozdający swój czas i pieniądze, przystał na tę definicję swojej osoby z łagodnym uśmiechem na twarzy.

Patience dołożyła do ognia jeszcze jedno polano.

- To bardzo ładnie z pana strony, że zdecydował

się pan opalać dom, ale dla kogoś, kto nigdy przedtem tego nie robił, prędko stanie się to męczące i nudne.

- Widzę, że masz w tym praktykę. W czym jeszcze jesteś dobra, Patience? - zapytał z łagodną intonacją sympatii.

- Ja? - Namysłała się przez chwilę. - Potrafię gotować, szyć, naprawiać drobne usterki, robić na drutach, wymieniać bezpieczniki...

- I nie pragniesz innego życia?

- Nie ukończyłam studiów i Bóg nie obdarzył mnie urodą. Ciocia Bessy mówi, że jestem brzydkim kaczątkiem. Ale gdybym była wykształcona i piękna, chciałabym spędzić tydzień w Londynie. Chodziłabym wtedy do teatrów i restauracji, gdzie na stolikach palą się świece, a kelnerów i jadłospisy importowano prosto z Paryża. Oczywiście, robiłabym zakupy w eleganckich sklepach... Pana śniadanie pewnie już jest gotowe. A ponieważ od kominka rozchodzi się już ciepło, przyniosę je tutaj.

- Powiedziałem, że zjem śniadanie w kuchni - przypomniał jej w formie delikatnego napomnienia.

Uparł się, aby panna Murch i Patience towarzyszyły mu przy stole. Ale w rozmowie z nimi nie zdobył się już na tę serdeczną otwartość, jak przed chwilą z „brzydkim kaczątkiem”. Wymiana zdań dotyczyła śnieżycy i wynikających stąd praktycznych kwestii.

- Ponieważ kuchnia jest siłą rzeczy najlepiej ogrzewanym miejscem w domu - zwrócił się do panny Murch - będziemy jadać tutaj. Poza tym wystarczy opalać gabinet i mniejszy salon. Czy mamy pod dostatkiem świec i lamp naftowych?

Panna Murch przeniosła wzrok na Patience.

- O świece nie musimy się martwić, natomiast nafty zostało nam niewiele.

- A co z zapasami jedzenia?

Panna Murch odrzekła z godnością:

- Każda przewidująca i odpowiedzialna gospodyni posiada w spiżarni kilkudniowy zapas. Ja zwiększyłam go podwójnie.

- W szklarni jest mnóstwo warzyw - dodała Patience. - Jeśli więc pan Van der Beek przekopie ścieżkę, przyniosę je, zanim zupełnie zmarzną.

- Pan Van der Beek - wtrąciła ostrym tonem gospodyni - ma lepszy sposób spędzania czasu.

Doktor sięgnął po grzanekę i grubo posmarował ją masłem.

- Owszem, mam - zgodził się. - Lecz z drugiej strony, czy przekopywanie ponadmetrowych zasp nie będzie dla Patience zbyt ciężkim zadaniem?

Patience dzielnie wytrzymała spojrzenie dwóch par oczu.

- Jestem bardzo silna.

- Ruch na świeżym powietrzu dobrze mi zrobi - ostatecznie zamknął kwestię pan Van der Beek.

Przekopywanie ścieżki zajęło mu całe przedpołudnie. Mróz wzmagął się, a wiatr, który przycichł na jakiś czas, uderzył ze zdwojoną furją. Patience niepokoiła się o ciotki. To prawda, że ciasny segment był łatwy do ogrzania, a pani Dodge przyrzekła troskliwą opiekę. Ale jak długo ma trwać taka pogoda? Tranzystorowe radio panny Murch informowało, że co najmniej jeszcze dwadzieścia cztery godziny.

- Co to za czasy nadchodzą - utyskiwała panna Murch. I skąd tu wziąć kawałek świeżego mięsa?

Przede wszystkim skąd tu wziąć sensowną odpowiedź na tego rodzaju pytanie?

- Gdy tylko będę mogła dotrzeć do wioski i zobaczę się z ciotuniami...

- Wpadniesz do rzeźnika.

Nie miało sensu tłumaczyć pannie Murch, że lokalny transport został sparaliżowany i prawdopodobnie półki w sklepie pana Croucha świecą pustkami.

Pomimo fatalnego nastroju, w jakim się znajdowała, gospodyni przygotowała na lunch smaczną zupę, zapiekanki z szynką, serem i cebulą oraz mocną pachnącą kawę. Pan Van der Beek, promieniując zdrowiem i zadowoleniem z siebie, spałaszował ogromne ilości wszystkiego, po czym zniknął w swym gabinecie. Uprzedził, by do obiadu nie przerywano mu pracy pod żadnym pretekstem.

Patience sprzątnęła ze stołu i zaczęła zmywać naczynia.

- To śmieszne - zauważyła panna Murch - że nie ma tu automatycznej zmywarki. Teraz pójdę się położyć. Od rana boli mnie głowa.

- Czy przed czwartą przynieść pani herbatę?

- Tak, dziękuję. Ten śnieg działa mi na nerwy.

Kiedy została sama, Patience sprawdziła, czy nie trzeba dorzucić węgla do kuchennego pieca i kominka w salonie, po czym wyjrzała przez okno. Śnieg znowu sypał.

Usiadła przed kominkiem i na godzinę zanurzyła się w lekturze. Książka, którą znalazła, zdaje się, że jedyna w tym domu za wyjątkiem książek pana Van der Beeka, okazała się ciekawym wspomnieniem autorki z jej lat dzieciństwa spędzonych w Indiach.

Kiedy Patience zaniósła herbatę do sypialni panny Murch, zauważyła, że gospodyni nie wygląda najlepiej. Jednak mimo złego samopoczucia zeszła na dół, by przygotować panu Van der Beekowi kanapki do herbaty.

- Tylko nie wchodź do gabinetu - upomniała - zanim nie zostaniesz poproszona. Postaw tacę i od razu wyjdź.

Na nieśmiałe pukanie Patience odezwało się ze środka niecierpliwe „proszę”.

- Możesz wyglądać jak myszka - wysapał pan Van der Beek - ale nie zachowuj się jak myszka. Przecież nie gryzę.

- Oczywiście, że nie. Po prostu zobowiązana zostałam do jak najcichszego zachowania się. Czy pisze pan książkę o tym, jak należy robić operacje?

- Mniej więcej.

- A więc coś podobnego do opracowanych przez znawcę przepisów w książce kucharskiej?

Pan Van der Beek rozciągnął usta w uśmiechu.

- Jeśli jest to komplement, to serdecznie dziękuję.

Ból głowy panny Murch nie ustępował. Ale nie słabła też jej zawodowa determinacja. Zdumiała i zaskoczyła ich duszonymi porami we francuskim sosie, boeuf bourguignon, gotowanymi ziemniakami oraz pieczonym kremem z jajek, mleka i różnych rodzajów sera. Pan Van der Beek, chcąc jakby sprostać wspaniałości obiadu, przez cały czas bawił obie panie bardzo ciekawą i dowcipną rozmową. Lecz dopiero pod sam koniec zwrócił się bezpośrednio do gospodyni:

- Pani nic nie je, panno Murch. Czy boli panią głowa?

- Trochę, proszę pana.

- W takim razie zalecam łożko, butelkę z gorącą wodą pod kołdrę oraz kubek gorącego mleka z masłem i miodem. Również dwie pastylki aspiryny. W przypadku braku poprawy, jutro zostaje pani w łożku. - Kiedy zaś gospodyni odeszła, powiedział do Patience: - Proszę dopilnować, aby panna Murch zastosowała się do moich poleceń.

Patience napełniła butelkę gorącą wodą i rozejrzała się za mlekiem. Niestety, mleko skończyło się i trzeba je było zastąpić herbatą.

Panna Murch potulnie połknęła pigułki, po czym poprosiła Patience o zasunięcie zasłon.

- Nie wiem, czy zdołam zasnąć.

- Długi, spokojny sen dobrze pani zrobi. Zajrzę jutro rano. Bardzo mi przykro, że źle się pani czuje.

Na ten dzień pozostawało jeszcze zmycie talerzy po obiedzie i posprzątanie kuchni. Patience skończyła właśnie zamiatać podłogę i oparła się o kredens, by trochę odpocząć, gdy wszedł pan Van der Beek.

- Idź do łóżka, Patience. Ja przypilnuję pieca. Dobranoc.

Ale ta noc wcale nie miała się okazać dobra.

ROZDZIAŁ TRZECI

Patience poczuła, że ktoś potrząsa ją za ramię. Otworzyła oczy. Przy łóżku stała panna Murch. Pełgający płomyk świecy oświetlał jej twarz. Widać było na niej objawy choroby.

- Mam dreszcze - żałosnym głosem wyszeptała gospodyni. - Czy mogłabyś podać mi coś gorącego do picia i wymienić wodę w butelce? Ten dom stanie się moim grobem.

Patience wyskoczyła z łóżka i opiekuńczo otoczyła pannę Murch ramieniem. Chora trzęsła się jak liść osiki, a równocześnie jej ciało buchało żarem niczym rozpalona do czerwoności płyta kuchenna.

- Proszę wracać do łóżka. Za chwilę wszystko przyniosę.

Zbiegła po schodach. Na podeście pojawił się pan Van der Beek.

- Co się stało? Czy chodzi o pannę Murch?

- Tak. Ma wysoką gorączkę. Idę zrobić jej herbatę.

- Jeszcze sama się przeziębisz, jeśli będziesz biegała na bosaka.

- Osobiste rzeczy zostawiłam w domu - odparła i w swej zbyt długiej nocnej koszuli jak na skrzydłach poszybowała do kuchni.

Kiedy wróciła do sypialni panny Murch, zastała tam również pana Van der Beeka. Siedział na brzegu łóżka i spoglądał właśnie na termometr.

- Panno Murch, ma pani grypę. Przez kilka dni pozostanie pani w łóżku. Trzeba będzie regularnie brać lekarstwa, ale najpierw dostanie pani zastrzyk

z antybiotykiem. - Spojrzał na Patience. - Więcej poduszek i dodatkowy koc.

Przyniosła wszystko ze swego pokoju. Doktor zrobił zastrzyk, a potem wspólnie opatulili chorą.

Następnie pan Van der Beek zwrócił się ku Patience:

- Proszę używać na razie kapci i szlafroka panny Muren. Inaczej będę miał dwie pacjentki. I dodał: - Za kilka minut spotkamy się w kuchni. Musimy porozmawiać. Przygotuj herbatę.

Szlafrok gospodyni był czerwony, wełniany i kilka numerów za duży. Podobnie rzecz przedstawiała się z kapturami, ale miło było włożyć w nie zlodowaciałe stopy. Ubrana, dosłownie, w powłóczyste szaty, Patience zeszła do kuchni. Zaparzając herbatę, rozmawiała z Basilem, który grzał się przy piecu. Kiedy zjawił się pan Van der Beek, herbata parowała w kubkach.

Teraz dopiero Patience zauważyła, że doktor nie rozbierał się jeszcze tej nocy. Usiadł na krześle i poprosił ją, aby również usiadła.

- Panna Murch wstanie z łóżka w najlepszym wypadku dopiero za pięć, sześć dni. Czy wobec tego czujesz się na siłach przejąć jej obowiązki? Opalenie domu biorę na siebie. Opieką nad panną Murch podzielimy się jak lekarz z pielęgniarką. Obawiam się, że chora będzie kaprysiła. Najważniejsze jednak, że będziesz musiała przyrządzać posiłki.

Patience kiwnęła głową i dopiła herbatę. Przed wszystkim tęskniła za łóżkiem.

Ależ śmiesznie wygląda, pomyślał pan Van der Beek, z tą głowiną wystającą ponad wysoki kołnierz nocnej koszuli i z rękami tonącymi w zbyt długich i sutych rękawach. A jej potargane włosy przypominają ptasie gniazdo. Zaś pod tym gniazdem bieleje zmęczona twarz.

- Idź spać, Patience - powiedział - a ja zajrzę

jeszcze do panny Muren. W zasadzie nie powinna do rana obudzić się, ale na wszelki wypadek zostawię drzwi do jej pokoju otwarte. Czy jest tu jakiś dzwonek?

- Tak, w jadalni. Przyniosę go.

- Nie, nie, wracaj do łóżka. Dobranoc.

Wstał i otworzył przed nią drzwi. Kiedy mijala go, rzekł z sardonicznym rozbawieniem w głosie:

- Chyba nie wolno nam uczynić z tego zwyczaju?

Bąknęła coś pod nosem i poszła na górę. Z kufra na pościel wyjęła koc i poduszki i ponownie posłała sobie łóżko. Po chwili zapadła w sen. Drzwi nie zamknęła, a na nocnym stoliku zostawiła palącą się świecę i w jej świetle pan Van der Beek, idąc do sypialni gospodyni, zobaczył jej uśpioną twarz. Zdziwił się, że wydała mu się prawie ładna. Wzruszył ramionami i poszedł sprawdzić, czy jego pacjentka także śpi.

Ranek nie przyniósł żadnej odmiany, śnieżyca nie ustawała. Patience upewniła się, że gospodyni śpi, a dzwonek znajduje się w zasięgu jej ręki, i zeszła na dół. Pomimo wczesnej pory, pan Van der Beek był już w kuchni i dosypywał węgla do pieca. Powiedzieli sobie „dzień dobry”, po czym on poszedł do gabinetu, aby rozpalić w kominku, ona zaś zajęła się śniadaniem. Przysmażyła bekon do grzanek, przygotowała również masło, konfiturę pomarańczową i dzbanek kawy. Z jajek zrezygnowała, przeznaczając je dla chorej. Wkrótce wrócił Van der Beek i umywszy ręce zasiadł przy stole.

- Zanim ponownie wezmę się do oczyszczania ścieżek, zajrzę do panny Murch. Pomożesz jej się umyć i niech pije tyle płynów, ile tylko może.

- Przeniósł wzrok na kubek z czarną kawą. - Nie ma mleka?

- Nie. Ale za to są jajka. Zrobię pannie Murch omlet.

- Dobrze. A co z naszym lunchem?

- Będzie zupa... Chyba będę musiała upiec chleb.
- To też potrafisz?
- Nie ma nic łatwiejszego. Pamiętam, że w zamrażarce był kurczak. Ugotuję go i panna Murch będzie miała rosół i białe mięso.

Uśmiechnął się do niej przez stół. Sprawiała wrażenie zmęczonej, choć dzień dopiero się zaczynał. Jej włosy zaczesane były do tyłu w sposób wręcz purytański. Właściwie nie można było wyglądać bardziej pospolicie. Z drugiej jednak strony trudno nazwać pospolitą osobę, która miała takie oczy. Ubrana w coś ładnego, z włosami swobodnie rozpuszczonymi, mogłaby być nawet atrakcyjna.

Dopiwszy kawę, wstał.

- Czy trzeba uzupełnić zapasy węgla i drewna?
- Tak. To, co mamy w komórce, wystarczy tylko do wieczora.

Po pięciu minutach wrócił z butelką do ponownego napełnienia gorącą wodą.

- Panna Murch obudziła się. Gorączka trochę spadła. Kiedy umyjesz ją i poprawisz łóżko, daj jej pić do woli. Pociła się przez całą noc.

Panna Murch była tak osłabiona i chora, że przyjmowała zabiegi Patience z bezwolną obojętnością. Dała sobie umyć ręce i twarz oraz oblec czystą nocną koszulę, jakby odbywało się to zupełnie poza nią i jej nie dotyczyło. Na szczęście natychmiast po zażyciu lekarstw ponownie zasnęła. Patience posprzątała po śniadaniu i wreszcie mogła przystąpić do pieczenia chleba. Zrobiła rozczyn, zamiesiła ciasto, po czym zostawiła je, żeby podrosło. Z większej części ciasta uformowała bochenki, a do reszty dodała syropu cukrowego. Zaczęła wypiek od bułeczek, gdyż chlebowe bochenki powinny rosnać jak najdłużej. Niebawem rozszedł się po domu najmilszy z zapachów. Kiedy pan Van der Beek, oczywiście w skarpetkach, wszedł

do kuchni na kawę, przez chwilę łapczywie wdychał go nozdrzami.

- Czuję smakowitości. Czy będą do zjedzenia już teraz?

Patience uśmiechnęła się i nalała kawę do kubków.

- Proszę bardzo. Zaraz wyjmę je z pieca. Tylko uprzedzam, że gorące ciasto drożdżowe może zaszkodzić.

- Raz kozie śmierć - machnął ręką.

Wyjęła partię okrągłych rumianych bułeczek, z których pięć od razu poszło na stół. Pan Van der Beek łamał je, dmuchał na parujące ciasto i w mgnieniu oka pochłaniał.

- Na którą mam zrobić lunch?

Spojrzał na zegarek.

- Na pierwszą. Chciałbym jeszcze trochę popracować. Daj mi znać, gdybyś potrzebowała mojej pomocy.

Skończywszy z wypiekiem bułeczek i chleba, przeszła do innych zajęć. Panna Murch zaczęła wreszcie robić użytek ze swojego dzwonka. A to należało wymienić wodę w butelce, a to przynieść jej coś do picia, a to poinformować, co pan Van der Beek dostanie dziś na lunch, podwieczorek i obiad. Było jasne, że panna Murch rozpieściła swojego pracodawcę. Jeśli nie będzie smakował mu chleb z serem, pomyślała Patience, to może chodzić głodny.

Ale lunch nie składał się bynajmniej z samego chleba i sera i pan Van der Beek nie miał powodów do narzekań. W pewnym momencie nawet na głos pogratulował sobie, że w osobie Patience znalazł prawdziwy skarb.

- Ależ to nie pan mnie znalazł - sprostowała Patience - tylko pan Bennett polecił mnie panu. Zresztą, zanim przypadkowo spotkaliśmy się w holu, nie wiedział pan w ogóle o moim tutaj istnieniu.

- Nie rozdzielaj włosa na czworo - poprosił ją, po czym zniknął w swym gabinecie.

Kiedy o czwartej zaniósła tam herbatę i bułeczki, nawet nie uniósł głowy znad papierów, a jego „dziękuję” dobiegło z oddali zamyślenia i skupienia na jakimś chirurgicznym problemie. Pomyślała więc, że zamiast prosić go o przyniesienie węgla, weźmie wiadro i po prostu sama to zrobi. Śnieg przestał padać, ale nie było w powietrzu żadnych oznak odwilży.

Przed obiadem, korzystając z wolnej chwili, poszła do swego pokoju, by się trochę ogarnąć. Na korytarzu spotkała pana Van der Beeka, który dopiero co wyszedł z sypialni panny Murch.

- Polepszenie. Jeszcze trzy dni leżenia, a potem zobaczymy pannę Murch w kuchni. Na razie, ma się rozumieć, będzie tylko dotrzymywała ci towarzystwa.

- Dokładniej przypatrzyl się twarzy Patience. - Wyglądasz na zmęczoną.

- Jestem zmęczona. Obiad będzie o wpół do ósmej, panie Van der Beek.

- Wspaniale. Ale przedtem napijemy się czegoś.

- Jest jeszcze sporo rzeczy do zrobienia - rzuciła opryskliwie.

- Racja. Muszę przynieść węgiel na opał.

- Już to zrobiłam. Inaczej przy obiedzie szczękali-byśmy zębami o łyżki.

- Dlaczego nie zwróciłaś się z tym do mnie?

- Miałam zamiar, lecz kiedy przyniosłam panu herbatę, stwierdziłam, że nie jest to odpowiedni moment.

- Biedna dziewczynka.

Nachylił się i pocałował ją w policzek.

Pomyślała, że pocałunek ten nawet sprawił jej przyjemność, ale szybko wyrzuciła tę myśl z głowy.

- Jeśli kogoś stać na opłacenie ludzi, którzy wszystko

za niego zrobią - powiedziała rzeczowym tonem - ten nie musi zaprzętać sobie głowy gotowaniem, praniem, prasowaniem, sprzątaniami, opalaniem i tak dalej.

Uznał logikę tego stwierdzenia.

- Gdy zejdziesz na dół, może uda nam się opracować projekt traktatu pokojowego.

Wokół panny Murch trzeba było wykonać rytualne czynności - mycie, poprawianie łóżka, napełnianie butelki gorącą wodą, a także czesanie włosów. Gospodyni okazała się trudną pacjentką, ale kto wie, czy gdyby ona, Patience, leżała z grypą i gorączką, nie zachowywałyby się równie ponuro i kapryśnie.

Wracając do kuchni, myślała o swojej spódniczce i swetrze, w których chodziła bez przerwy od kilku dni. Zaczęło ją to już irytować i przygnębiać. Wpadłaby w jeszcze czarniejszy humor, gdyby znała myśli pana Van der Beeka. Na jej widok aż zachnął się w duchu z powodu tego wiecznego uniformu.

Trzymał w ręku notes i ołówek.

- A teraz wymień mi wszystkie prace, które muszą być w przeciągu dnia wykonane.

Spełniła jego żądanie i w rezultacie powstała całkiem długa lista domowych obowiązków. Studiował ją przez chwilę.

- Biorę na siebie - powiedział - zastawianie stołu do posiłków, zmywanie po posiłkach, przynoszenie opału, opalanie kuchni i gabinetu oraz troskę o to, aby panna Murch miała zawsze w butelce ciepłą wodę.

- A co z pana książką?

- Na nią rezerwuję sobie popołudnia oraz wieczory po obiedzie.

- Rozumiem.

Kiedy zjedli obiad i pan van der Beek po zmyciu talerzy i naczyń, zamknął się w swoim gabinecie, Patience usiadła na drewnianym krześle przy piecu

i zamyśliła się. Przy nikłym świetle świeczki, którą zostawiła sobie, nie sposób było kontynuować lektury książki o Indiach. Promieniujące od pieca ciepło obezwładniło ją. Zapadła w drzemkę.

Dochodziła północ, kiedy pan Van der Beek odłożył pióro. Był zadowolony z tego, co napisał. Wstał, przeciągnął się i poszedł do kuchni. Zobaczył obraz śpiącej dziewczyny. Siedziała na niewygodnym krześle. Oddychała przez półotwarte usta. U jej nóg spał pies.

Nieuważnie potracił stopą kubeł. Patience obudziła się. Położył dłoń na jej ramieniu. >

- Jestem kompletnym głupcem - powiedział - i zasługuję tylko na pogardę. Jeśli będziesz chciała odpocząć, korzystaj z gabinetu do momentu, aż wrócimy do normalnego życia.

- Dziękuję, lecz to niemożliwe. Przeszkadzałabym panu w pracy.

Było w niej tyle prostoty i zwykłości, a czy prostota i zwykłość mogą przeszkadzać? - pomyślał.

- Idź do łóżka, Patience - powiedział łagodnym głosem. - I zrzuć mi z góry swoją butelkę. Przyniosę ci ją, gdy tylko woda się zagotuje.

Życzyła mu dobrej nocy i wolnym krokiem wspięła się po schodach na piętro. Co by powiedzieli na to jego londyńscy przyjaciele? Myśl ta, zatarta przez senność, towarzyszyła jej aż do drzwi pokoju. Rzuciła ze szczytu schodów butelkę, a on zgrabnie ją złapał. Kiedy zaś wróciła z łazienki do sypialni, napełniona gorącą wodą butelka już się tam znajdowała. Na nocnym stoliku stał również kubek z herbatą. Wypiła ją ze świadomością, że być może już jutro będzie musiała wyrzec się tej przyjemności. Zapas herbaty szybko topniał, trzeba zaś było pamiętać o pannie Murch.

Na drugi dzień nie padało, ale mróz trzymał. Pan Van der Beek przekopał ścieżkę do stajni, która

służyła za garaż, i tam w samochodzie wysłuchał w radiu komunikatu o pogodzie. Podawano, że fala zimna przejdzie dopiero za kilka dni. Miły, kobiecy głos informował, że prawie cała południowo-wschodnia Anglia pozbawiona jest elektryczności. Telefony nie działają, większość dróg jest nieprzejezdna.

Patience przeliczyła świece i sprawdziła poziom nafty w baniaku. Następnie przystąpiła do przeglądu produktów spożywczych. Zaglądając na wyższe półki kredensu, wspinała się na palce. Pan Van der Beek, który wrócił właśnie z garażu i stał oparty o framugę drzwi, mógł podziwiać jej zgrabne nogi. Miał też dobrą zabawę, gdyż mówiła do siebie na głos.

- Suszona soczewica... Gdy przyniesie mi marchew, ugotuję zupę... Będę musiała więcej upiec chleba, a tu mąka się kończy... Dobrze, jest trochę ryżu, zrobię coś z tego... Mandarynki w pomarańczowym likierze, palce lizać... Laska imbiru, na lepsze czasy... Kaczka w winie i puszka ostryg, nie wiem, co z tym zrobić... Będzie musiał jeść, co dostanie, albo niech chodzi głodny.

- Nie martw się, on zje wszystko - odezwał się pan Van der Beek. - Może z wyjątkiem laski imbiru.

Odwróciła się i zobaczyła jego uśmiech.

- Jak długo pan mnie podsłuchuje?

- Podziwiałem twoje nogi, Patience.

Odgarnęła z oczu włosy, niewykluczone jednak, że chciała tym gestem przesłonić nagły rumieniec.

- Czy zawsze czerwienisz się, gdy usłyszysz skierowany pod swoim adresem komplement?

- Nie wiem. - Pomimo rumieńców, jej głos i spojrzenie nie świadczyły o zmieszaniu. - Nie przypominam sobie, aby ktoś prawił mi komplementy. Jaka podawali prognozę pogody?

Przekazał jej zasłyszane informacje, po czym przyrzekł jeszcze dzisiaj przekopać się do warzyw.

Przez następne dwa dni było bezwietrznie i bezśnieżnie, ale zapowiadana odwilż wciąż nie nadchodziła. Panna Murch, która stosunkowo szybko odzyskiwała zdrowie, spędzała teraz czas w kuchni przy piecu, owinięta szczelnie kocami. Mimo że Patience dwoiła się i troiła, by z ciągle malejącej resztki produktów robić smaczne i wysokokaloryczne posiłki, nie usłyszała od gospodyni ani słowa pochwały. Swoją drogą, nie było to grzeczne z jej strony.

Mijał kolejny dzień, kiedy pan Van der Beek, wróciwszy z drewnitni z naręczem polan, ogłosił, że dostrzegł na polnym trakcie pług śnieżny. Co prawda, ugrzązał on w wysokiej zaspie, ale i tak nadzieja na wybawienie stała się realna.

- Gdy tylko przebiją się do nas, odwożę cię do domu - obiecał Patience.

- Panna Murch nie czuje się jeszcze na tyle zdrowa i silna, by mogła powrócić do swoich obowiązków.

- W takim razie skorzystamy z pomocy pani Croft i pani Perch. Będę je przywoził i odwoził land roverem. Ty natomiast weźmiesz sobie kilka dni wolnych. Zasłużyłaś na nie.

- Nie przejedzie pan polną drogą. Nie pokona pan jej nawet land roverem.

Do rozmowy włączyła się panna Murch.

- Zajdziesz do rzeźnika i sklepu spożywczego, Patience. Dam ci listę potrzebnych produktów. Zużyłaś wszystkie moje zapasy.

- Musieliśmy przecież coś jeść - słabym głosem tłumaczyła się obwiniona.

- Patience robiła prawdziwe cuda - wziął ją w obronę pan Van der Beek. - Smakowały mi wszystkie potrawy zrobione przez nią.

- Ja natomiast cieszyłabym się, gdybym mogła znów dolać mleka do mojej herbaty.

Patience i pan Van der Beek wymienili spojrzenia.

W oczach doktora malowała się pobłażliwość dla zgryźliwego humoru jego pacjentki.

Dwadzieścia cztery godziny później Patience i pan Van der Beek siedzieli w land roverze i jechali przebitym przez pług śnieżny wózem. Opony ślizgały się po zmarzniętym śniegu, a duże nierówności nawierzchni zmuszały kierowcę, by wyskakiwał na drogę i robił użytek ze swojej łopaty. Od czasu do czasu wpadali poślizgiem na boczne zwały śniegu i tylko dzięki napędowi na cztery koła udawało im się wycofać. Siedzący na tylnym siedzeniu Basil lizał Patience po karku, co zmniejszało jej napięcie i czyniło tę jazdę nawet całkiem znośną.

Dojechali wreszcie do wioski i stanęli przed domem.

Pan Van der Beek poprosił Patience, aby została w samochodzie, a sam poszedł przekopaną w śniegu ścieżką ku drzwiom frontowym. Nacisnął dzwonek. Po minucie drzwi otworzyły się i stanęła w nich, okutana w najprzeróżniejsze wełny, ciotka Polly.

Przywitał się z nią bardzo uprzejmie, po czym oznajmił:

- Przywiozłem Patience. Mam nadzieję, że panie nie martwiły się o nią. Śnieżyca odcięła nas całkiem od wioski.

Twarz ciotki Polly rozpromieniła się radością.

- Młody człowieku, kamień spadł mi z serca, że Patience nic się nie stało. Proszę wejść. Czy ona jest z panem?

Starsza pani, chcąc ominąć przeszkodę, która zasłaniała jej widok, przechyliła w bok głowę.

- Jest w samochodzie. Zaraz ją przyprowadzę.

Patience, spragniona spotkania z ciotkami, wyskoczyła z samochodu, poślizgnęła się, rąbnęła jak długa na ziemię, poderwała się i otrzepała płaszcz ze śniegu.

- Powiedziałem ci, żebyś poczekała na mnie - upo-

mniał ją delikatnie pan Van der Beek, równocześnie chwytając Patience pod ramię. - Jak sądzisz, czy twoje ciotki będą miały coś przeciwko temu, jeżeli Basil również wejdzie?

- Oczywiście, że nie.

Odwrócił głowę i gwizdnął na psa.

Po chwili całą trójką weszli do maciupęńskiego holu. Ledwo co się zmieścili, gdyż ciotka Bessy też się pojawiła, aby powitać kochane dziecko. Następnie Patience zaprowadziła gościa do saloniku. Ogień na kominku palił się stosunkowo niewielkim płomieniem, ale ponieważ pomieszczenie też było niewielkie, efekt miłego ciepła został utrzymany. Oczywiście Basil rozłożył się tuż przy kracie kominka.

- A to jest Basil - Patience przedstawiła ciotkom psa.

- Proszę usiąść. - Ciotka Bessy wskazała gościowi fotel. - Jaka straszna pogoda, nieprawdaż? Patience, kochanie, czy mogłabyś przynieść herbatę? Jest już gotowa, a na talerzu leżą bułeczki, które upiekła pani Dodge. Nie możemy się skarżyć. Wszyscy tu bardzo troszczyli się o nas.

- Nareszcie herbata z mlekiem! - wykrzyknął pan Van der Beek, gdy na stoliku pojawiła się taca.

- Proszę przy zakupach nie zapomnieć o mleku - powiedziała Patience.

- Nie wolno mi również zapomnieć o wielu innych rzeczach, których listę, sporządzoną przez pannę Murch, mam w kieszeni. Przede wszystkim zaś muszę zobaczyć się z panią Croft i panią Perch i poprosić je, żeby zgodziły się przyjeżdżać do mnie każdego dnia na godzinę lub dwie.

Ale starsze panie nie dały na długo odebrać sobie głosu. Zaczęły mówić o pogodzie i o tym, że stary pan Soames poślizgnął się i złamał sobie rękę, a jacyś niegrzeczni chłopcy zbili śniegową kulą szybę w salonie

pana Thomasa. Kiedy zaś zdały relację ze wszystkich nowinek, skupiły swoją uwagę na gościu.

- Czy jest pan żonaty, panie Van der Beek?
- zapytała ciotka Bessy.

- Nie, panno Martin.

- Czy lekarz, a chirurg może nawet w szczególności, nie powinien mieć żony? Żona daje życiu mężczyzny pewną stabilność. Ja osobiście nigdy nie miałam kontaktu z lekarzem, który nie nosiłby obrączki.

Pan Van der Beek wydawał się lekko zmieszany, lecz przyznał, iż faktycznie żonaci lekarze wzbudzają w pacjentach większe zaufanie.

- Więc musi pan znaleźć żonę, młody człowieku
- powiedziała ciotka Polly. - Czy dobrze mieszka się panu w wynajętym domu? Wiosną w ogrodzie zaczną kwitnąć tulipany, a latem róże. Tamte róże są zachwycające.

- Mam mało czasu - powiedział pan Van der Beek i szybko pożegnał się.

Kiedy za gościem zamknęły się drzwi, obie ciotki otworzyły przed Patience zatroskane serca.

- Jak to dobrze, kochanie, że wreszcie jesteś z nami. Czy odpowiada ci ta praca? Mam nadzieję, że nie zlecano ci fizycznych robót. A nasze domostwo? Jak wygląda? Zanim panie Croft i Perch wrócą do pracy, gospodyni będzie musiała zakasać rękawy.

Patience zapewniła je, że przed wyjazdem wysprzątała wszystkie zamieszkałe pokoje wraz z kuchnią i korytarzami, że ich domostwo jest w jak najlepszym stanie i że gospodarności panny Murch niczego nie można zarzucić.

Kładąc się spać, Patience pomyślała o swoim pracodawcy. W ostatnich dniach był bardzo uczynny i przyjacielski. Kiedy jednak pogoda poprawi się i życie potoczy się utartymi torami, pan Van der Beek wróci zapewne do swojej zwykłej postawy pełnej

zimnego dystansu i znów nie będzie nikogo zauważał. Minione dni musiały być dla niego bardzo męczące.

W tym samym mniej więcej czasie pan Van der Beek również myślał o Patience. Powrócił do domu z zakupami oraz obietnicą pani Croft, że podejmie codzienne wizyty zaraz po wyzdrowieniu jej najmłodszego dziecka, które zachorowało na bronchit. Natychmiast po powrocie zasiadł do biurka. Praca nad książką szła mu dzisiaj wyjątkowo łatwo, zapisał wiele kartek. Gdy wszedł do kuchni, aby przed snem napić się jeszcze herbaty, uświadomił sobie, że bardzo brakuje mu Patience.

Na drugi dzień pojawiło się na niebie blade słońce i zaczęły się roztopy. Pani Croft przyniosła mleko, pieczywo i jaja. Wciąż jednak panna Murch musiała radzić sobie bez wielu niezbędnych, jej zdaniem, produktów. Szokował ją i przygnębiał widok pana Van der Beeka, pałaszującego jajecznicę i zapychającego się grubymi pajdami chleba z masłem. Grypa, choć już minęła, pozostawiła w niej pewną niechęć do fizycznej aktywności. Wprawdzie pani Croft wzięła na siebie całe sprzątanie, jednak nie było na razie nikogo, kto mógłby zastąpić pannę Murch w odbieraniu telefonów, słaniu łóżek czy napełnianiu lamp naftą. Jej też zaczynała doskwierać nieobecność Patience.

Dziewczyna tymczasem spędzała swój wolny czas z ciotkami, słuchała w radiu muzyki i planowała, że z chwilą, gdy roztopią się śniegi, wybierze się do Norwich po zakup nowej spódniczki i kuku sweterków. Nie mając od dawna niczego nowego, postanowiła w dzień powrotu do pracy ubrać się przynajmniej w swoje najlepsze rzeczy. Założyła szarą tweedową spódnicę, białą bluzkę i dziergany wełniany żakiecik, który dostała do ciotek na Boże Narodzenie. Jednak pan Van der Beek, który zgodnie z umową po nią

przyjechał, nie zobaczył jej elegancji, gdyż wyszła do niego w płaszczu.

W samochodzie siedziała już pani Croft. Przywitały się, lecz nie zdążyły na dobre zacząć rozmowy, gdy zajęły na miejsce i musiały wysiadać. Pan Van der Beek odprowadził wóz do garażu.

Gdy wszedł do domu, pani Croft odkurzała salon, a Patience, na żądanie panny Murch, prowadziła w holu rozmowę telefoniczną z dostawcą węgla. Przez jakiś czas słuchał jej miękkiego głosu, który jednak potrafił zadziwiająco twarzenie, gdy dochodziło do kwestii zapłaty lub terminu dostawy, a następnie skupił uwagę na jej ubiorze. Szary kolor spódnicy i zakietu ocenił jako po prostu przygnębiający. Błękit, ewentualnie srebrzysta zieleń, oto w czym byłoby jej do twarzy. I koniecznie powinna zamienić te swoje bezstyłowe buty na, powiedzmy, zamszowe trzewiki na wysokich obcasach.

Odłożywszy słuchawkę, Patience odwróciła się i natknęła na lustrujące spojrzenie pana Van der Beeka. Ale nie zapytała go, dlaczego tak jej się przygląda, tylko bez słowa poszła do kuchni. Tu panna Murch wręczyła jej listę najpilniejszych spraw, wśród których pranie, z uwagi na nieobecność pani Perch, zajmowało pierwsze miejsce. Brudnych rzeczy zebrały się już dwa pełne kosze i Patience chcąc nie chcąc musiała najpierw posegregować bieliznę, a potem nastawić pralkę. Podczas gdy bęben pralki obracał się, Patience zdążyła załatwić pięć ważnych telefonów i nakryć do stołu na lunch. Po posiłku rozwiesiła pranie i otworzyła okno, aby bielizna schła w powiewie świeżego powietrza. Jutro weźmie się za prasowanie.

O szesnastej pan Van der Beek podrzucił Patience i panią Croft do wioski, przy pożegnaniu prosząc je, aby oczekiwały go jutro za kwadrans dziesiąta.

- Jaki miły - powiedziała pani Croft, kiedy odjechał.
- Dzięki jego uprzejmości nie musimy brnąć przez tę sięgającą kostek bryję na polnym trakcie. Droga stąd do domostwa zajęłaby mi na piechotę co najmniej pół dnia.

- Myślę, że ze mną nie byłoby inaczej. Jeśli zaś o niego chodzi, to na pewno dręczy się tym, że marnuje czas na jazdy samochodem, zamiast go przeznaczyć na pisanie książki. Ostatecznie po to tu przyjechał.

Śnieg topniał na polach bardzo wolno, ale drogi stosunkowo szybko stały się przejezdne. Wkrótce też wróciła do pracy pani Perch i oznaczało to, że stan wyjątkowy wywołany śnieżycą ostatecznie minął. Nakaz milczenia i zapobiegania hałasom znowu zaczął obowiązywać. Panie Croft i Perch mówiły szeptem, a Patience starała się odbierać telefony już po pierwszym sygnale. Zazwyczaj rozmówcy przedstawiając się poprzedzali nazwisko tytułem doktora i niezmiennie pragnęli rozmawiać z panem Van der Beekiem osobiście. Raz tylko zadzwoniła kobieta, która dobitnie podkreśliła, że dzwoni w bardzo pilnej sprawie, czym skłoniła Patience do uległości. Jednak w minutę po tym, jak uzyskała bezpośrednie połączenie, z gabinetu wypadł pan Van der Beek i zmierzył Patience mrozącym krew w żyłach wzrokiem.

- Czy nie powtarzałem do znudzenia, że odbieram tylko ważne i pilne telefony? Czy nie jesteś w stanie zrozumieć tych dwóch prostych słów? Czy nie zatrudniłem cię po to, aby mój czas został zaoszczędzony? Czy nie...

- Chwileczkę, panie Van der Beek. - Jej głos, mimo że niezbyt donośny, brzmiał czysto i wyraźnie, - Nie ma powodu, aby od razu wpadać w zły humor. Jeśli zdoła mi pan wytłumaczyć różnicę między pilnym a pilnym, to wówczas na pewno nie odbierze pan

telefonu, którego nie życzyłby pan sobie. Otóż ta kobieta powiedziała mi, że dzwoni w pilnej sprawie, jej głos brzmiał szczerze, coś więc miałam zrobić? To mogła być pana żona, matka, córka czy też wreszcie pana narzeczona.

Spojrzał na nią jak na raroga.

- Zechciej trzymać swoją wyobraźnię na wodzy. Nie mam ani żony, ani dzieci, a moja rodzina żyje w Holandii. Zdaje się, że powinnaś już to wiedzieć.

Patrzyła na niego łagodnym spojrzeniem.

- Przepraszam, zapomniałam. Postaram się już więcej nie powtórzyć tego błędu. - I nagle ciekawość wzięła górę nad grzecnością. - Czy nigdy pan nie miał dziewczyny?

Minęła dobra minuta, zanim odpowiedział.

- Jesteś najbardziej impertynencką istotą pod słońcem.

Wybuchnął śmiechem, o którym wszystko można było powiedzieć, tylko nie to, że był wesoły, i zniknął w swoim gabinecie.

Nie widziała go przez resztę dnia i poszła do domu przekonana, iż z pewnością dostanie jutro wymówienie z pracy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Na drugi dzień panna Murch powitała Patience wiadomością, że pan Van der Beek wyjechał do Londynu.

- Jest bardzo wziętym chirurgiem - dodała z miną zaświadczącą o doniosłości wypowiedzianych słów; było jasne, że tylko ten jeden zawód cieszy się w jej oczach uznaniem. - Będziesz teraz przeglądała korespondencję i o ważniejszych przesyłkach informowała go przez telefon. Numer zostawił na biurku. Nadarza się okazja, żeby gruntownie posprzątać gabinet. Nie muszę chyba mówić, że biurko ma pozostać nie-tknięte. Trzeba wypolerować okucia kominka. Doprawdy, nie wiem, co go napadło, że upiera się sam rozpalać ogień w gabinecie. Nie mogę się doczekać powrotu do Londynu. Im szybciej to nastąpi, tym lepiej.

Sortując listy, Patience poznała wreszcie imię pana Van der Beeka. Julius. Stwierdziła, że pasuje zarówno do osoby, jak i do nazwiska. Niektóre listy pisane były w języku holenderskim i te odkładała na oddzielną kupkę. Kopert z napisem „korespondencja prywatna” nie otwierała. Czyżby adresowała je przyjaciółka od serca? Niewykluczone, że przebywa z nią w tej chwili w Londynie. Patience popuściła wodze fantazji. Pewnie jest wysoka i smukła, uderzająco przystojna, ma czarne błyszczące oczy i ciemne włosy. Rozmyślała właśnie nad jej kreacjami, gdy w szparę w drzwiach wetknęła głowę panna Murch.

- Czy masz zamiar przeglądać te listy cały dzień?

Przypominam, że zanim pójdziesz do domu, gabinet powinien być wysprzątany.

Wyrwana tym ostrzegawczym tonem z zamyślenia, Patience zabrała się do porządków. Wyczyściła dokładnie kominek i rozpałała w nim ogień. Wytarła z kurzu i wypolerowała specjalną pastą meble. Wyfroterowała podłogę, docierając najpierw szczotką elektroluksu do najtrudniej dostępnych zakamarków. Na koniec przyniosła z ogrodu gałązki forsycji i ustawiła je w wazonie na stoliku.

Oglądając swoje dzieło, zwróciła uwagę na kartki papieru leżące na biurku. Zapisane były tak niewyraźnym pismem, że należałoby ufundować specjalną nagrodę temu, kto zdołałby je odczytać. Ale nawet gdyby poradziła sobie z tą pierwszą przeszkodą, pozostawała jeszcze kwestia zrozumienia tekstu, a to już było mało prawdopodobne. Kiedyś gdzieś przeczytała, że bardzo mądrym ludziom brakuje zmysłu organizacji. Straszliwy bałagan panujący na biurku mógł stanowić dowód, że pan Van der Beek jest bardzo mądrym człowiekiem. Nic nie wiedziała o jego rodzinie i gronie bliskich przyjaciół. Co teraz porabiał? Czy pochylał się z chirurgiczną maską na twarzy i skalpelem w dłoni nad nieszczęśliwą ofiarą wypadku samochodowego? Czy może kroczył szpitalnym korytarzem na czele wiernych mu asystentów?

Pan Van der Beek robił w tej chwili całkiem coś innego. Otwierał właśnie drzwi gabinetu w wynajętym przez siebie domu. Szmer za plecami przebudził Patience z jej snu na jawie. Poderwała się na równe nogi i spojrzała na doktora ze zdumieniem w oczach.

- A czy można wiedzieć - zapytał jedwabistym głosem - co panienka tu porabia? Tylko mi nie mów, że sprzątasz pokój, bo widziałem, że siedziałaś przy biurku i prawdopodobnie podczytywałaś moje papiery. Czy za to ci płacę?

Pomimo kompletnego zaskoczenia, Patience prędko opanowała się.

- Faktycznie robiłam tu porządki, a jeśli na chwilę usiadłam, to tylko dlatego, by trochę odpocząć. Niczego na biurku nie ruszałam ani nie podczytywałam. Spojrzałam tylko na pismo. Pisze pan nie dla takich ludzi jak ja.

Uśmiechnął się.

- Gdzie jest panna Murch?

- Zamówiła taksówkę i pojechała do wioski.

- Taksówką?

- Jeszcze nie wyszło zupełnie.

- A panie Perch i Croft?

- Zabrały się z nią. Ja miałam czekać na powrót panny Murch.

- Czy podała godzinę powrotu?

- Wyjechały o wpół do czwartej, ja zaś powiedziałam pannie Murch, że jeśli nie wrócą do czwartej, to nic strasznego się nie stanie.

- Minęło wpół do piątej. Czy piłeś już herbatę?

- Tak, w porze lunchu. Ale na pewno pan się napije?

- Jeśli byłabyś tak dobra... I jak tylko skończysz z herbatą, możesz iść do domu.

Zabrała ścierki, pasty i odkurzacz i poszła do kuchni. Wróciwszy po dziesięciu minutach z tacą, zastała gabinet pusty. Położyła więc tacę na stoliku przy oknie i zaczęła się ubierać do wyjścia. Pan Van der Beek nadal nie dawał znaku życia. Opuściła dom bocznymi drzwiami. Gdy wychodziła zza węgła, drzwi stojącego na podjeździe bentleya otworzyły się.

- Wsiadaj. - Pan Van der Beek zaprosił ją do środka prawie rozkazującym głosem.

- A pana herbata?

- Będę z powrotem za pięć minut.

Wsiadła. Gdy zaś dojechali na miejsce, poprosiła go, aby wytłumaczył ją przed panną Murch.

- Mimo wszystko umówiliśmy się, że będę na nią czekała. I dziękuję za podwiezienie.

Pożegnał się z nią z dziwną powagą w głosie i odjechał. Ciotki, które obserwowały całą scenę przez okno saloniku, robiły jej potem delikatne wymówki, że nie zaprosiła go na herbatę.

Nastał luty. Co drugi dzień przechodziły deszcze. Niekiedy nocami chwytał mróz. W drodze do pracy lub z pracy do domu, Patience wdychała wilgotne powietrze, doszukując się w nim pierwszych zapachów wiosny. Nie mogła narzekać na brak zajęć w wyznaczonych godzinach pomiędzy dziesiątą a szesnastą. Trzeba też było oddać sprawiedliwość pannie Murch. Dom był prowadzony wzorowo, a pan Van der Beek miał zapewnione optymalne warunki dla pisania swej książki. Patience widywała go od czasu do czasu, jak wychodził z Basilem na spacer lub przemierzał hol w kierunku gabinetu. Ale poza wymianą krótkich pozdrowień, rzadko ze sobą rozmawiali.

Patience nadal zajmowała się listami, telefonami, organizacją zakupów, a w wolnych chwilach dbała, by wazony nie stały puste. Pomagał jej w tym stary Ned, któremu w szklarni rozkwitły już narcyze, żonkile i tulipany. Wypuszczała się też do ogrodu, skąd znosiła bazy, przebiśniegi i wczesne pierwiosniki. Wkładała je do kubków, miseczek, smukłych flakoników, tak iż każdy kąt domu ustrojony był wiosennymi kwiatami.

Pewnego dnia, odrywając wzrok od bukietu oświetlonych słońcem pierwiosnków, pan Van der Beek powiedział:

- Lubię te kwiaty. Gdybyś mogła zawsze je tu stawiać!

Przyrzekła mu to. Pierwiosniki dopiero zaczynały się.

Tydzień później przechodziła przez hol, a on otworzył drzwi gabinetu i poprosił ją do środka.

- Pomóż mi, Patience, uporządkować ten bałagan. Uchyliłem okno, powstał przeciąg i wszystkie moje papiery sfrunęły na podłogę. Nie wiem, czy do wieczora wyjdę z tego galimatiasu.

- Na pozór wygląda to strasznie, ale damy sobie radę. Ja będę zbierała kartki, a pan będzie je segregował. Czy są numerowane?

- Oczywiście.

- A swoją drogą powinien je pan przepisać na maszynie.

- I trzymać tu dodatkową osobę? Przede wszystkim szukałem ciszy i spokoju.

- Na brak ciszy i spokoju nie może pan chyba się skarżyć. Nikt panu nie przeszkadza w pisaniu, a my boimy się nawet głośniej kichnąć.

Roześmiał się.

- A więc mam wynająć maszynistkę? Kogo byś mi poleciła? Może samą siebie?

Zignorowała delikatny sarkazm ostatniego pytania.

- Przecież pracuję tu już na stanowisku, by tak rzec, oficera pokładowego.

- A czy umiesz pisać na maszynie?

- Tak.

- Przypuszczam, że również nie jest ci obca steno-
grafia?

- Zgadza się. Po ukończeniu szkoły średniej przeszłam kurs sekretarek. Moje ciotunie uważały, że powinnam robić coś konkretnego. Wtedy jeszcze miałyśmy gospodynię.

Beznadziejność i monotonia jej życia wzbudzały litość, ale pan Van der Beek wiedział, że Patience nie oczekiwała od nikogo litości.

- Zatem ustalone. Postaram się o maszynę, a ty przepiszesz rękopis.

- Nie jestem pewna, czy zdołam odczytać pana pismo...

- Spróbować nie zawadzi. Jeśli będziesz sobie radziła, zostaniesz moją sekretarką.

- Dziękuję, panie Van der Beek. Ale kto mnie zastąpi w mojej dotychczasowej pracy?

- Przyjmiemy na twoje miejsce kogoś innego z wioski. Telefony jednak nadal ty będziesz przyjmowała, a także korespondencję. Oczywiście, będzie się to łączyło z podwyższeniem pensji.

Namyślał się przez chwilę, po czym wymienił sumę. Otworzyła szeroko oczy.

- Ależ to jest o wiele za dużo.

- Przeciwnie, są to normalne pobory sekretarki. Możesz to sprawdzić telefonując do jakiejś większej agencji.

- W takim razie jestem już pewna, że nie myli się pan.

Uklęka i szybko zebrała rozrzucony po podłodze rękopis.

- Chciałabym spróbować - powiedziała oddając mu gruby plik kartek - ale gdybym okazała się niedobłą sekretarką, to czy mogę mieć pewność, że powie mi pan to bez ogródek?

Pan Van der Beek, który nigdy nie zniósłby niefachowego pracownika ani w swoim domu, ani w szpitalu, mógł obiecać jej to bez podejrzenia o nieszczerłość.

Minęły dwa dni, zanim zobaczyła go ponownie. Wezwał ją do gabinetu, zaraz gdy tylko przyszła do pracy, i poprosił, żeby zechciała wybrać dla siebie którąś z maszyn.

Na stole stały trzy maszyny do pisania: elektroniczna i dwie tradycyjne biurowe. Długo przyglądała się im, aż wreszcie wybrała mechaniczną o bardziej opływowym kształcie.

- Nigdy jeszcze nie pisałam na elektronicznej. Zapewne jest bardzo szybka i łatwo na niej się pisać,

lecz dużo czasu zajęłoby mi poznanie jej. -I dorzuciła:
- Chciałabym pracować w jadalni. Jest tam telefon,
a poza tym panna Muren będzie mnie miała pod ręką.
Wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz. Weź pierwszy rozdział i... do dzieła.

Podczas następnych kilku godzin dziesiątki razy popadała w najczarniejszą rozpacz. Nie była to tylko kwestia niewyraźnego charakteru pisma. Chodziło o obcą jej terminologię medyczną, słowa, których znaczeń jak na razie nie mogła zgłębić. Przepisane początkowe strony wydawały się jej niemal bezsensowne. Kiedy wręczała je jeszcze tego samego dnia panu Van der Beekowi, spodziewała się z jego ust jak najgorszej oceny.

- Całkiem dobrze - powiedział, gdy przebiegł oczami po kartkach. - Czy masz wszystko, co potrzeba?

- Tak, dziękuję.

- W takim razie do widzenia do jutra, Patience.

- Jeszcze nie dokończył ostatnich słów, a już jego głowa pochyliła się nad papierami leżącymi na biurku. Jego zaprzątnięty medycznymi problemami umysł mógł tylko przez krótkie momenty rejestrować otaczający świat, którego cząstkę, wraz z takimi elementami, jak bukietek pierwiosnków czy słońce na niebie, stanowiła ona, Patience.

Pożegnała się i bezszelestnie wymknęła z gabinetu. Nie słysząc jej wyjścia, wyczuł jej nieobecność, a to z kolei, jak już zauważył, wiązało się u niego z jakimś podskórnym niepokojem.

Cicha, prowincjonalna, fatalnie ubrana dziewczyna, która niekiedy robi użytek ze swego ciętego języczka, pomyślał. Nie było najmniejszych powodów, ażeby miał zaprzętać sobie nią głowę. Wrócił do pisania i szybko o niej zapomniał.

Gdy tylko przestąpiła próg ciasnego segmenciku, Patience poinformowała ciotki o swym awansie na sekretarkę. Słuchały kiwając bieluteńkimi głowami.

- Wreszcie jakaś stosowna dla ciebie praca - powiedziała ciotka Bessy. - Mówisz więc, że zaproponował ci większą pensję?

Obie staruszki przyjęły wymienioną sumę niczym należne im beneficjum i natychmiast uznały, że najwyższy czas, by ich ukochane dziecko kupiło sobie wreszcie coś nowego i ładnego.

Patience nosiła się z tym samym zamiarem. Tak często czuła się obiektem krytycznej lustracji pana Van der Beeka, że już tych jego na poły miążdżących, na poły litościwych spojrzeń nie mogła po prostu znieść. Jakże miło byłoby dostrzec w jego oczach podziw lub przynajmniej akceptację. Wprawdzie nie miała ładnej twarzy, ale swoich nóg i swojej figury nie musiała się wstydzić...

Przez następne kilka tygodni pracowała w największym skupieniu, cierpliwie poprawiając swoje własne błędy oraz przepisując zmiany, które wносił do pierwotnego tekstu pan Van der Beek. Równocześnie odbierała telefony i pośredniczyła w kontaktach pomiędzy panną Murch a sprzedawcami. Pośrednictwo było niezbędne, gdyż gospodyni, autorytatywna aż do przesady i nieświadoma faktu, że jest tutaj obcą osobą, miała fatalną zdolność zrażania sobie ludzi.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy Patience ośmieliła się poprosić o jednodniowy urlop.

Pan Van der Beek, siedząc z nosem utkwionym w grubaśnym tomie, nawet nie raczył podnieść głowy.

- W jakim celu?

Miała na końcu języka wszystkie uprzednio przygotowane powody, gdy nagle zrezygnowała z tłumaczenia się.

- Nie mam jeszcze jakiegoś konkretnego celu czy powodu. Po prostu chcę pojechać do Norwich. Być może uda mi się coś kupić.

Spojrzał na nią i chwilę lustrował jej szary urzędniczy uniform, który składał się z tweedowej spódnicy, bluzki i robionego na drutach żakietu.

- W takim razie oczywiście możesz jechać. Czy masz dostateczną ilość pieniędzy?

Cisnęło się na wargi, aby mu powiedzieć, że żadna kobieta wybierając się na zakupy nie ma poczucia, iż dysponuje wystarczającą sumą, ale zamiast tego tylko uprzejmie podziękowała mu i zapytała, kiedy ewentualnie mogłaby wziąć ten wolny dzień.

- Gdy skończysz przepisywać rozdział, który właśnie poprawiam. Nawiasem mówiąc, masz skłonności do przekręcania terminów medycznych.

- Pisałabym je poprawnie, gdyby w rękopisie były bardziej czytelne. Jeśli operuje pan równie niestarannie, jak pisze, to trzeba współczuć pana pacjentom.

Obrzucił ją sarkastycznym spojrzeniem.

- Masz ostry języczek, panno Martin. Doświadczam na sobie twojego żądęłka nie po raz pierwszy zresztą. Obyś nie stała się sekutnicą, która zmieni życie mężowi w prawdziwe piekło. - Wręczył jej poprawione stronicę. - A teraz do roboty i proszę nie gubić sensu w trakcie przepisywania.

Chwylił za pióro i pochylił się nad białą kartką papieru.

Nie miała zamiaru przeproszać go, mimo to uznając zarzut postawiła przed sobą wymóg maksymalnej koncentracji przy przepisywaniu.

Pojechała do Norwich kilka dni później, trochę wbrew stanowisku panny Murch i pozostawiając ciotki w opiekuńczych rękach pani Dodge. Zima kończyła się i sklepy zarzucone były wiosennymi ubiorami. Zajrzała do paru ekskluzywnych butików,

nie tyle, by zostawić tam pieniądze, gdyż ceny przekraczały zawartość jej portmonetki, co zorientować się w aktualnej modzie. Następnie już z poważnymi zamiarami zaczęła wstępować do sklepów typu Marksa i Spencera i dużych domów towarowych.

Nie miała wiele pieniędzy do wydania. Przeznaczyła je w pierwszym rzędzie na błękitny kostium z plisowaną spódnicą, do którego dobrała bluzkę z materiału przypominającego na oko jedwab. Twarzowy niebieski berecik oraz w tymże kolorze skórzane pantofle na niskich obcasach nadawały całości pewnego wy-smakowania. Następnie, szperając po tańszych sklepikach, znalazła karmelowo-kremową dżersejową sukienkę, która mimo że dość prosta, ładnie leżała. I to w zasadzie było już wszystko. Nie zapomniała, rzecz jasna, o ciotkach, którym kupiła dwa piękne jedwabne szale. Wypiła w bistro herbatę, zjadła kanapkę i już musiała pędzić na ostatni autobus.

Niestety, przez dwa kolejne dni lało jak z cebra, więc trzeba było poczekać z wystąpieniem w nowym stroju. Dopiero trzeciego dnia pokazało się słońce i jakkolwiek nadal było chłodno, nie na tyle jednak, by zrezygnować z założenia błękitnego kostiumu. Pantofle niosła w torbie, aby nie zabłociły się na polnym trakcie, i dopiero w domu wsunęła je na stopy. Panna Murch powitała ją z dużą rezerwą, kąśliwie stwierdzając, że pewnie wydała wszystkie swoje zaoszczędzone pieniądze. Czy pan Van der Beck będzie równie nieprzyjemny w swoich komentarzach? - zastanawiała się Patience.

Około południa wezwał ją do siebie. Zebrała przepisane strony i weszła, mówiąc z uśmiechem „dzień dobry”. Obrzucił ją krótkim, obojętnym spojrzeniem.

- Muszę wyjechać do Londynu. Nie będzie mnie

kilka dni. W tym czasie przepisuj to, co już przygotowałem.

Pochyliła się i pogłaskała Basila po sympatycznym łbie.

- Rozumiem, panie Van der Beek. Czy to wszystko, co ma mi pan do powiedzenia?

Ciągle ten sam chłód w oczach.

- W zasadzie tak. Dziękuję.

Wróciwszy do swojej maszyny, Patience stanęła przed ciężkim zadaniem przekonania siebie, że jego kompletny daltonizm, jeśli nie wręcz ślepotą, o niczym nie świadczy. Ostatecznie kupiła ten kostium po to, by sprawić sobie przyjemność, nie zaś by zbierać pochwały. Ewidentne kłamstwo, do którego sama przed sobą nie chciała się przyznać.

Okrywała maszynę pokrowcem, gdy pojawił się w jadalni.

- Pomyślałem - powiedział - że mogłabyś jeszcze zająć się przypisami. Oczywiście, jeśli znajdziesz trochę czasu. Z grubsza je opracowałem. Najważniejsze, abyś zachowała jednolite zasady skrótów, nie myliła stron i tak dalej.

- Zrobię najlepiej, jak potrafię, panie Van der Beek. Wychodząc odwrócił się.

- Podoba mi się twój nowy kostium, Patience. Pewnie sądziłaś, że nie zauważyłem go?

Nie znosiła krętałów.

- Prawdę mówiąc, tak właśnie sądziłam. Mniejsza zresztą z tym. Kupiłam go, by wyglądać miło i elegancko.

- Wyglądasz miło i elegancko - zapewnił ją solennie, po czym zamknął za sobą drzwi.

Kiedy na drugi dzień znalazła się w gabinecie, aż załamała ręce. Bałagan, który zawsze panował na biurku, teraz jak gdyby udziesięciokrotnił się. Większość nowo zapisanych stron nie miała paginacji.

Najwidoczniej pan Van der Beek chciał przed wyjazdem przelać na papier jak najwięcej gotowych już myśli i nie zważał ani na numerowanie kartek, ani na to, gdzie je odkłada; część z nich leżała na podłodze. Notatki, fragmenty gotowego tekstu, wersje przekreślone i odrzucone, wszystko to tworzyło; chaos, w którym jeszcze kilka tygodni temu czułaby się jak dziewczynka w ciemnym borze. Ale dzisiaj, mimo że z pewnymi kłopotami, zrobiła w tym logiczny porządek i po godzinie biurko przypominało miejsce pracy pedantycznego urzędnika bankowego.

Podczas segregowania i układania papierzysk natknęła się na zaadresowaną do siebie kopertę. Zawierała jej tygodniówkę. Wynikało stąd, że pan Van der Beek nie wróci przed sobotą. Wolała, żeby jego nieobecność nie trwała długo. Dom bez niego wydawał się dziwnie pusty i głuchy.

Po dwóch dniach zaczęła za nim tęsknić i, co najważniejsze, przyznawać się przed samą sobą do tej tęsknoty.

Pan Van der Beek szedł londyńską zatłoczoną ulicą w kierunku szpitala, gdzie miał dokonać dziś wszczęcia sztucznej zastawki serca. Ale nie myślał o czekającej go operacji. Gwizdał wesoło, uśmiechał się do siebie, a jego myśli zaprzątnięte były bez reszty Patience. Z pewnością nie zaliczała się do atrakcyjnych dziewcząt, ale miała piękne oczy, zgrabną figurkę i nieskazitelny charakter. Potrafiła ugotować smaczny obiad niemalże z niczego i nikt nie mógł zarzucić jej braku zdrowego rozsądku i praktyczności. Ludzie w wiosce lubili ją i gotowi byli spełnić każdą jej prośbę. Bez wątpienia zasługiwała na lepsze życie.

Operacja, choć przebiegała bez żadnych niespodzianek, trwała stosunkowo długo. Stan pooperacyjny pacjenta wróżył jak najlepiej. Kiedy doktor opuszczał

szpital, zapadał już zmierzch. Zanim jednak dojechał z centrum Londynu do swojego domu w Chiswick, zrobiła się zupełna noc. Dom doktora stał fasadą do Tamizy i stanowił piękny przykład wiktoriańskiego willowego budownictwa. Pan Van der Beek zostawił wóz w garażu i skierował się do drzwi frontowych. Był w połowie drogi, gdy drzwi otworzyły się i stanął w nich łysy mężczyzna w średnim wieku z okrągłą, wesołą twarzą. Przywitał doktora z pełną szacunku uprzejmością starego służącego.

- Obiad będzie za pół godziny, sir.

- Dziękuję, Dobbs.

Pan Van der Beek zabrał ze stolika w holu dzisiejszą korespondencję i przeszedł do salonu. Gdy tylko zagłębił się w miękkim fotelu, Basil ułożył mu się u stóp na dywanie.

- Telefonowała panna Murch - powiedział Dobbs, który wniósł na tacy sok pomarańczowy. - Chciała upewnić się, czy wszystko w porządku.

Dobbs był żarliwym wielbicielem panny Murch. Admirował nie tyle jej urodę, co gospodarskie zalety.

- Mam nadzieję, że uspokoisz ją. A jak tam w Norfolk?

- Nic godnego powtórzenia, sir.

Dobbs bezszelestnie zniknął, by mieć pieczę nad obiadem, który podczas nieobecności panny Murch przeszedł w zakres obowiązków pokojówki.

Pan Van der Beek nie spieszył się z otwieraniem listów. Powiódł leniwym wzrokiem po salonie. Bogato obite ałtąsem fotele i sofy; wielki stojący zegar, który stanowił przemyślną artystyczną kompozycję z marmuru, włoskiego orzecha i mosiądzu; osiemnastowieczna sekretera i dwie oszklone biblioteczne szafy z tej samej epoki; kolekcja cennych obrazów o tematyce marynistycznej i ciężki brokat zasłon; gruby dywan o rozmiarach niejednego pokoju, który tutaj okrywał

zaledwie niewielką część dębowej podłogi - wszystko to zaświadczało tyleż o wyszukany smaku właściciela, co dawało całkiem jednoznaczne pojęcie o jego statusie majątkowym. Nieproszona, natrętna myśl wdarła się do świadomości pana Van der Beeka. Jak na widok tego wnętrza zareagowałaby Patience, dziewczyna z Norfolk?

Zmarszczył brwi. Stanowczo zbyt często w ostatnich dniach jego myśli skupiały się na niej. Otworzył pierwszą lepszą kopertę, by zająć się czymś innym. W tym samym momencie zadzwonił telefon. Lekarz dyżurny meldował, że pacjent, którego doktor dzisiaj operował, nie czuje się najlepiej.

- Za pięć minut wyruszam - powiedział pan Van der Beek i odłożył słuchawkę.

Dobbs, który miał właśnie podawać obiad, na widok ubierającego się do wyjścia doktora jedynie głęboko westchnął, powstrzymując się od wszelkich komentarzy. Takie rzeczy już nieraz mu się zdarzały. Wiedział, że doktor podporządkował swej pracy dosłownie wszystko, na czele z własną osobą. Ostatecznie obiad można podgrzać, a deser raz jeszcze wyjąć z lodówki. Ta ostatnia myśl zdołała go nawet całkiem rozpogodzić.

- Zadzwoń do panny Muren, Dobbs - powiedział pan Van der Beek trzymając dłoń na klamce drzwi frontowych - i powiedz jej, że wracam za dwa dni. Upewnij się też, czy wszystko tam w porządku.

Okazało się, że pogorszenie parametrów ciśnienia i rytmu serca operowanego pacjenta było tylko chwilowym kryzysem, który w znacznym stopniu złagodziła natychmiastowa interwencja doktora Van der Beeka. Zjadł spóźniony obiad dopiero między dziesiątą z jedenastą wieczorem, po czym wyszedł z Basilem na krótki szybki spacer. Kładąc się do

łóżka, ostatni raz tego dnia zwrócił się myślami ku Patience. Czy już spała? Czy może jeszcze zajęta była domowymi obowiązkami?

Na drugi dzień pan Van der Beek podjął zaskakującą decyzję - wyjedzie do Themelswick nie jutro, jak uprzednio zaplanował, lecz jeszcze dzisiaj. Słyszając to, Dobbs zapytał, czy ma zadzwonić do panny Muren i powiadomić ją o tej zmianie planów.

- Nie, gdyż prawdopodobnie zatrzymam się na noc w Norwich, gdzie mam kilku przyjaciół. Zresztą muszę się widzieć z ordynatorem oddziału chirurgicznego jednego z tamtejszych szpitali. Znam go i wiem, że łatwo mnie nie wypuści.

Dojeżdżając do Norwich zmienił zamiar. Ściemniało się już, nie była to odpowiednia pora na wizyty, wpadnie tu któregoś ranka. Obrął drogę do Themelswick. Patience musiała już pójść do domu, ale przynajmniej przejrzy to, co napisała. W ten sposób po kilkudniowej przerwie znów zanurzy się w swoją książkę i jutrzejsza praca pójdzie mu o wiele łatwiej.

Skręcił na drogę dojazdową. Zdumiało go, że tylko w jednym oknie paliło się światło, i to właśnie w jadalni. Zostawił wóz w garażu i wszedł do domu bocznymi drzwiami od ogrodu. W kuchni nikogo nie było. Kiedy przemierzał hol, doleciał go odgłos stukania na maszynie. Minęła osiemnasta i Patience o tej porze powinna była przebywać już ze swoimi ciotkami. Podszedł do drzwi jadalni i otworzył je.

Patience na widok mężczyzny w drzwiach wydała cichy okrzyk i zbladła jak chusta.

- Ależ przestraszył mnie pan! Mało co nie zemdlałam.

- Przepraszam, nie było to moim zamiarem. Gdzie jest panna Murch?

- W kościele odbywa się dobroczyzna wenta.
- Spojrzała na zegar. - Powinna wrócić niebawem.
- Czy jesteś w domu sama?
- Tak.
- Czy wiedziałaś, że drzwi boczne są otwarte?
- Tak. Nie zamknęłam ich ze względu na pannę Muren.

- I nie bałaś się?
- Mieszkałam w tym domu przez wiele lat. Znam tu każdy kąt.

Kiwnął głową.

- Oczywiście, zapomniałem. Ale na przyszłość pamiętaj zabezpieczyć wszystkie drzwi, kiedy zostaniesz w domu sama. - Zauważył, że ogień na kominku zgasł. - Nie jest ci zimno?

Wdzięcznym, dziewczęcym gestem wyciągnęła przed siebie dłonie; obleczone były w robione na drutach i sięgające do połowy palców rękawiczki.

- Najważniejsze, że nie grabieją mi ręce.

Na stole paliła się tylko jedna lampa. W jej świetle mógł dostrzec, że ubrana jest w nowy błękitny kostium, a że błękit był niewątpliwie jednym z jej kolorów i miała lekko potargane włosy, wyglądała w tej chwili niemal na ładną dziewczynę.

- Jak sobie radziłaś?

- Całkiem dobrze. Przedwczoraj skończyłam tekst i przesłałam do indeksów. Nie przypuszczam, aby napisał pan cokolwiek w Londynie.

- Faktycznie nie wzięłam pióra do ręki. Czy twoje ciotki nie będą niepokoiły się, że tak długo nie wracasz?

- Pani Perch miała uprzedzić je, że przyjdę trochę później.

- W takim razie może napilibyśmy się herbaty? A potem wspólnie rzucimy okiem na maszynopis.

- Podszedł do drzwi i położył dłoń na klamce. - Będę w gabinecie. Mam nadzieję, że jest tam napalone?

- Obawiam się, że nie. Odkąd wyjechał pan, nikt tam poza mną nie wchodził.

- Wobec tego przyniosę maszynopis tutaj.

Kiedy wróciła z kuchni z herbatą i biszkoptami, pan Van der Beek siedział już przy stole i przewracał kartki maszynopisu.

- Wykonałaś kawał dobrej roboty, Patience - pochwalił ją. - Dokąd nie dostarczę ci nowej partii rękopisu, pracuj nadal nad przypisami.

Szansy, jaka się oto pojawiła, nie można było przegapić.

- Przypuszczalnie więc w ciągu najbliższych dni nie będę miała dużo przepisywania. Czy w takim razie będę mogła wziąć kolejny dzień urlopu? Mam tylko wolne niedziele, a w te dni nie da się robić zakupów. Myślę nie tyle o zakupach żywnościowych, co o poszukaniu czegoś z...

- Czegoś z ubrania. Oczywiście, że możesz nie przyjść do pracy któregoś dnia. Choćby nawet jutro, jeśli ci to odpowiada. Czy chcesz pojechać do Norwich?

Kiwnęła głową i przysunęła mu biszkopty.

- Dziękuję. Zresztą nawet nie jest to kwestia całego dnia. Muszę moim ciotuniom kupić nowe kapelusze...

- Naturalnie - przyznał i nagle, zdumiewając samego siebie, zaczął mówić, że ma w Norwich przyjaciela, też chirurga, i że umówili się na spotkanie w tych dniach. - A że najbardziej pasuje mi dzień jutrzejszy, mogę więc ciebie i twoje ciotki podrzucić w tamtą stronę. Niestety, z Norwich będziecie musiały wracać autobusem.

Zdecydował się powiedzieć to dosłownie w ostatniej sekundzie. Wrodzona ostrożność odpowiedziała mu, że nie należy przesadzać w uprzejmości tylko dlatego, że dziewczyna budzi sympatię.

Patience podziękowała, jak zwykle, rzeczowym tonem i zamierzała właśnie umówić się co do godziny wyjazdu, kiedy wróciła panna Murch. Była bardzo skonfundowana i rozzalona faktem, że pan Van der Beek nie zastał jej na stanowisku, by tak rzec, w pełnej gotowości.

- Doprawdy, proszę nie przejmować się taką drobnostką - z uśmiechem na twarzy uspokajał ją pan Van der Beek. - W pani imieniu powitała mnie Patience.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pan Van der Beek podrzucił Patience do domu i wstąpił do środka na chwilę, by osobiście przedstawić starszym paniom swoją ofertę podwiezienia ich jutro do Norwich. Były zachwycone, i to zarówno obietnicą otrzymania nowych kapeluszy, jak i perspektywą przejażdżki jego samochodem. Chciały zatrzymać go, częstować herbatą, ledwie zdołał się wyrwać. Za progiem przemknęła mu przez głowę myśl, że chyba oszalał. Jego uporządkowanym dotąd życiem zaczęły rządzić zachcianki, odruchy, sentymenty. Przede wszystkim powinien skończyć książkę, wrócić do Londynu do swojej pracy i do przyjaciół, następnie ewentualnie pomyśleć na serio o ożenku...

- Czarujący mężczyzna - oświadczyła ciotka Bessy, kiedy doktor pożegnał się. - Greczny, miły, rozumny. Założę się, że pacjenci wyrwyją go sobie.

- Jest chirurgiem, ciociu Bessy.

- Chirurg czy internista, mniej więcej to samo. A wracając do naszego wyjazdu do Norwich, jaki to rodzaj kapeluszy masz zamiar nam kupić? Czy takie na cały rok, pilśniowe?

Rozmawiały o kapeluszach przez resztę wieczoru. Kładąc się do łóżka Patience zadała sobie pytanie, czy pan Van der Beek aby nie żałuje swojej decyzji? Przecież pierwotnie miał zamiar zasiać jutro do swojej książki...

Ale na twarzy doktora, kiedy zjawił się rano po swoje pasażerki, nie było widać śladu wewnętrznej rozterki czy żalu. Ciotka Bessy, całkiem podbita jego

galanterią, przebojem wzięła miejsce z przodu, tylne siedzenie pozostawiając siostrze, Patience i Basilowi. Miała w tym zresztą pewien ukryty zamiar. Podczas jazdy, nie rezygnując z manier i dobrego tonu, próbowała przeprowadzić małe śledztwo i dowiedzieć się czegoś konkretnego o życiu i rodzinie swojego lokatora. Ale pan Van der Beek, chętnie odpowiadając na pytania, niczego w gruncie rzeczy nie powiedział. Patience, będąc świadkiem tego przesłuchania, czerwieniła się, zaś ciotka Polly wtykała swoje trzy grosze.

Gdy dojechali do Norwich, skręcił w małą uliczkę przy katedrze i zapytał, gdzie ma je wysadzić.

- Tu będzie najlepiej - szybko powiedziała Patience.
- Mam nadzieję, że przez nas nie nadrobił pan drogi. Do miejskiego szpitala pojedzie pan Rosę Lane, a potem w prawo Queen's Road do końca.

Uprzejmie podziękował jej za wskazówki, ale było coś takiego w jego twarzy, że poczuła się kompletną idiotką. Znał pewnie Norwich sto razy lepiej niż ona.

Wysiadł i pomógł starszym paniom wydostać się z samochodu. Zapytał Patience, czym mają zamiar wracać.

- Oczywiście autobusem. Zatrzymuje się dwa kroki od naszego domu. Dziękujemy za podwiezienie.

Uśmiechnął się, ona zaś, łajac ze złością siebie w duchu, oblała się rumieńcem.

Pożegnali się, życząc sobie miłego dnia, i pan Van der Beek wrócił do samochodu. Przez chwilę patrzył na trzy oddalające się kobiety. Patience szła w środku, trzymając każdą z ciotek pod ramię, one zaś, wyprostowane, dumne, staromodnie ubrane, stanowiły jak gdyby jej straż przyboczną.

Ciotki od dziesiątków lat kupowały kapelusze w jednym i tym samym sklepie, ignorując wszystkie pozostałe. Zaszły tam i teraz. Patience obserwowała, jak przymierzają nakrycia głowy w różnych kształtach

i barwach, komentując ich zalety i wady. W końcu dokonali wyboru i wyszli ze sklepu w nowych kapeluszach, ma się rozumieć, tych tańszych z posiadanej przez modystkę kolekcji.

Potem poszli do pobliskiego lokalu, gdzie zjadli lunch i gdzie Patience, zamówiwszy dla ciotek po soku i ekierce, pozostawiła je przy stoliku na pół godziny, sama zaś podjęła wędrowkę po sklepach. Z myślą o nadchodzących cieplejszych dniach kupiła dla siebie piękną sukienkę w kwiaty z długimi rękawami i wiązaniem pod szyją. Po tym zakupie pozostało jej jeszcze trochę pieniędzy, które wydała na pończochy i kosmetyki, między innymi na krem przeciwko zmarszczkom. Miała gładką cerę, ale czas płynął.

Wróciła do ciotek i udała się na dworzec autobusowy. Publiczny środek transportu nie zapewniał takiej wygody, jak luksusowy bentley, ale starsze panie nie miały zwyczaju się skarżyć. Cieszyły się z wycieczki do miasta, która urosła w ich oczach do rangi świątecznej przygody. Jadąc autobusem mówiły o czekających je lepszych dniach, o powrocie do ukochanego domostwa. Patience nie miała serca rozwiewać ich marzeń.

Po srogiej zimie wiosna nastąpiła nagle, w całej swej wspaniałości. Zdarzały się jednak chłodniejsze dni. Mimo to Patience, ryzykując przeziębieniem, pojawiała się w pracy coraz częściej w samej tylko sukience, albo dżersejowej w kremowym kolorze, lub w tej bawełnianej w kwiaty.

Pan Van der Beek rzucił się w wir pracy. Obliczył, że gdyby utrzymał się do końca w tym rytmie i tempie pisania, książka zostałaby ukończona i oddana do rąk wydawcy w przeciągu sześciu tygodni. Podzielił się swoimi przypuszczeniami z Patience. Dla niej ten ; krótki termin okazał się źródłem niepokoju. Umowa została podpisana na pół roku, czy jednak lokator nie

zaprzeszanie płacenia czynszu, jeśli opuści dom wcześniej? Napisała w tej sprawie do pana Bennetta. Odpisał jej, że bez względu na zmienne okoliczności umowa nakłada na lokatora obowiązek uregulowania opłat za cały ustalony okres. Uspokoiło ją to, lecz zaraz zadała sobie pytanie, czy czasami bardziej od utraty pieniędzy i pracy nie obawia się perspektywy niechybnego rozstania?

Pewnego dnia, minął już chyba tydzień od czasu zakupów w Norwich, Patience stała przy oknie i patrzyła, jak pan Van der Beek przechadza się po ogrodzie z Basilem. Zadzwoił telefon. Mężczyzna, który odezwał się w słuchawce, prosił o natychmiastowe połączenie z doktorem.

- Muszę przywołać go z ogrodu. Kto mówi?

- Jego asystent. I proszę pośpieszyć się.

Otworzyła okno i zawołała w stronę pochylonego nad krokusami doktora:

- Pilny telefon do pana! Dzwoni pański asystent!

Szybkimi krokami przemierzył zieleniejący się już trawnik, przeskoczył żywopłot z bukszpanu i wpadł do pokoju. Podała mu słuchawkę i przeszła do kuchni, gdzie panna Murch od razu obarczyła ją zadaniem przygotowania mleka.

Wlewała właśnie mleko do rondla, kiedy wszedł pan Van der Beek. Zwrócił się najpierw do panny Murch z wiadomością, że zaraz wyjeżdża do Londynu, potem zaś do Patience z instrukcją dotyczącą przepisywania.

- Ostatnie partie rękopisu leżą na biurku w gabinecie. Kiedy uporasz się z nimi, wróć do indeksów.

Wyszła za nim do holu.

- Czy to coś bardzo pilnego, jeśli wolno spytać?

- Transplantacja serca. A teraz zmykaj i żadnych więcej pytań.

Odprowadzała go wzrokiem, kiedy szedł szybkim

krokiem do garażu, a potem jechał w kierunku bramy. Domostwo, ona, krokusy, Basil, to wszystko przestało już dla niego istnieć.

Gdyby mogła tak zabrać się z nim i zobaczyć tę drugą stronę jego życia, o której w gruncie rzeczy nic nie wiedziała. A było to życie, zgadywała, bodaj nawet ważniejsze od tego poświęconego pisaniu książki, mimo że ta praca na pozór całkiem go pochłaniała. Tam też, po tej drugiej stronie, mieściło się jego życie prywatne. Nie był żonaty, ale posiadał przyjaciół, może również kobietę, którą kochał... Usiadła na krześle z bezwładnie opuszczonymi rękami i dała się ogarnąć smutkowi.

Zdołała przepisać do końca gotowy tekst rękopisu i wgrzyźć się w indeksy, gdy po trzech dniach doktor z powrotem był w domu.

Wiedziała, że wrócił, gdyż usłyszała radosne szczekanie Basila, lecz zobaczyła pana Van der Beeka dopiero około szesnastej, gdy szykowała się już do wyjścia. Wszedł do jadalni trzymając w ręku całą stertę papierzysek.

- Przynoszę ci moje notatki. Czy mogłabyś uporządkować je jeszcze przed wyjściem do domu? Muszę pilnie z nich skorzystać. - Wychodząc odwrócił się.
- Czy wszystko w porządku?

Jej potwierdzenie zabrzmiało wyjątkowo cicho. Chciała zapytać go, czy przeszczepienie serca zakończyło się sukcesem, jednak widząc ów szczególny wyraz zamyślenia i nieobecności na jego twarzy, dała sobie spokój.

Nawet nie podniósł głowy znad kartki papieru, kiedy grubo po szesnastej weszła do gabinetu, położyła na brzegu biurka posegregowane notatki i wyszła życząc mu dobrej nocy.

Na drugi dzień piła w kuchni poranną kawę, gdy panna Muren zaczęła nagle utyskiwać.

- Myślałam, że będziesz mi służyła pomocą a tymczasem stukanie na maszynie wypełnia cały twój czas.

Rzuciła na Patience spojrzenie, które jak gdyby sugerowało, że to ona ponosi winę za taki stan rzeczy.

- Przecież nadal załatwiam zakupy i odbieram telefony. Czy zwróciła się już pani w tej sprawie do pana Van der Beeka?

Panna Murch wydawała się dotknięta tym pytaniem.

- Znam swoje miejsce i nigdy nie ośmieliłabym się podawać w wątpliwość słuszność decyzji mojego chlebodawcy.

- W takim razie nic na to nie można poradzić, czyż nie tak?

Spojrzenie panny Murch, którym w tej chwili obrzucała Patience, nie należało do najprzyjemniejszych.

- Mam tylko nadzieję, że książka zostanie szybko skończona i będziemy wreszcie mogli powrócić do Londynu.

Patience pozostawiła te słowa bez komentarza. Przedmiotem jej pragnień było zupełnie co innego.

Wiosna z dnia na dzień zieleniła świat i Patience zaczęła już myśleć o letnich sukienkach dla siebie i ciotek. Mogła sobie na nie pozwolić, jakkolwiek odłożona w banku suma zaliczała się raczej do skromnych. Oczywiście, pojawiał się problem kolejnego dnia wolnego od pracy.

Postanowiła czekać z prośbą na dogodny moment, a to wymagało cierpliwości.

W końcowej fazie pracy nad książką pan Van der Beek wydawał się bardziej zamknięty w swoim wewnętrznym świecie niż podczas pierwszych tygodni pisania i stąd zupełnie niedostępny. Kiedy jednak wręczył jej kolejny plik kartek, mówiąc z uśmiechem ulgi na twarzy, że jest to ostatni rozdział, Patience wiedziała, że nadeszła właściwa chwila. Z szczęściu

ustalonych w umowie miesięcy zostały jeszcze dwa, uwzględniając zaś opracowanie do końca indeksów oraz przejrzanie całości maszynopisu, pan Van der Beek mógł się wyprowadzić już w połowie maja. Przybita tą myślą, sprawę sukienek i Norwich uznała za drugorzędną.

- Szkoda, że nie będziesz mogła mi pomóc przy korekcie. Panna Muren ucieszy się, kiedy wrócisz do niej i znowu będziesz dbała o kwiaty w wazonach.

Czy naprawdę uważał, że kwiaty były jedyną rzeczą, o którą troszczyła się w tym domu? Mężczyźni, choćby i najmądrzejsi, są tak niespostrzegawczy!

Dwa dni później zniosła mu do gabinetu ostatnie przepisane stronicie. Zastała go rozmawiającego przez telefon.

Odwrócił ku niej twarz i wyraz jego twarzy zastanowił ją. Kontynuując rozmowę rzucił w jej kierunku:

- Czy wierzysz, że nasze prośby są wysłuchiwane, Patience?

- Oczywiście - odpowiedziała, nieco zaskoczona tym dziwnym pytaniem.

- Ja również. - Szybko pożegnał się z rozmówcą i odłożył słuchawkę. - Usiądź, proszę. Chciałbym cię o coś zapytać.

Położyła papiery na biurku i usiadła w fotelu. Natychmiast pojawił się Basil i umieścił swój łeb na jej kolanach.

Pan Van der Beek milczał, więc ona pierwsza odezwała się.

- Jeśli ma pan jakiś problem, chętnie pomogę go rozwiązać. - Nagle uderzyła ją pewna myśl. - A może w związku z tym, że książka jest już skończona, chodzi o zwolnienie mnie z pracy? Wiem, że dla pracodawcy jest to niewdzięczne zadanie, lecz przecież

całkiem normalne. Zresztą liczyłam się z możliwością rychłego zwolnienia.

Pan Van der Beek spoglądał z rozbawieniem w oczach.

- Mówisz od rzeczy, Patience. Nie mam zamiaru pozbywać się ciebie, wprost przeciwnie, chciałbym, żebyś podjęła się dla mnie innej okresowej pracy. Uściślijmy: dla mojej siostry.

- Dla pańskiej siostry?

- Przestań, proszę, powtarzać po mnie jak papuga. Po prostu siedź i słuchaj.

- Przecież siedzę i słucham... I spodziewam się bardzo długiej oracji.

Podniósł brwi, lecz zaraz wybuchnął śmiechem. Od dawna nikt tak bezpośrednio się do niego nie zwracał. Wydało mu się to zabawne.

- Powiem krótko. Moja siostra z mężem i małą córeczką przyjechali do mojego domu w Chiswick. Przywieźli ze sobą nianię, która jednak musiała pójść do szpitala z zapaleniem wyrostka robaczkowego. Siostra prosiła mnie przez telefon, abym rozejrzał się za kimś, kto zastąpi nianię. Nie wyciągam stąd pochopnego wniosku, że nie potrafi sama zająć się własnym dzieckiem. Po prostu jest w siódmym miesiącu ciąży i potrzebuje kogoś do pomocy. Pomyślałem, że ty zagwarantujesz jej pomoc najlepszą z możliwych.

- A więc mam wyjechać do Londynu i zająć się małym dzieckiem? To bardzo miłe z pana strony, panie Van der Beek, że pomyślał pan o mnie, ale po pierwsze, nie jestem nianią, po drugie zaś, co zrobię z moimi ciotkami?

- Jesteś rozsądną młodą kobietą i na pewno kochasz dzieci. Jeśli zaś chodzi o twoje ciotki, to może zgodziłyby się spędzić tutaj tydzień lub dwa z panną Murch...

- Tak, tylko że one nigdy nie pracowały fizycznie, a teraz są zbyt stare...

- Moja droga Patience, zupełnie nie rozumiemy się. Proponuję gościnnie. Panna Murch będzie opiekowała się nimi. Nie będzie im na niczym zbywało. Możesz być pod tym względem całkiem spokojna.

- Przepraszam. To bardzo miłe z **pana** strony.

- Nie jestem ani miły, ani bezinteresowny. Robię to dla mojej siostry. Wracam do Londynu jutro po południu i mam nadzieję, że pojedziesz ze mną.

- Na jak długo?

- Na dwa tygodnie, czyli do wyjazdu mojej siostry do Holandii. - Uśmiechnął się tak czarująco, że serce Patience aż skoczyło w piersi. - Proszę, zgódź się, Patience.

- Dobrze, zgadzam się, pod warunkiem jednak, że moje ciotunie też wyrażą zgodę. Czy panna Murch jest już poinformowana o wszystkim?

- Jeszcze nie. O całej sprawie z nianią dowiedziałem się przed kwadrans. Wracaj teraz do domu i porozmawiaj z ciotkami. Przyjadę po was jutro w porze lunchu. Powiedz im też, że jeśli będą chciały wybrać się do kościoła lub gdziekolwiek indziej, panna Murch zamówi dla nich taksówkę. Zresztą zaufaj mi, że wszystko dobrze zorganizuję.

Kiwnęła głową. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Ciotki nie śpieszyły się z podjęciem decyzji, jakkolwiek sam pomysł od razu im się spodobał. Nigdy do tego nie przyznawały się na głos, ale Patience wiedziała, że nie lubią ciasnego segmenciku i tęsknią za przestronnymi wnętrzami starego domostwa. W końcu, po dłuższych deliberacjach, przystały na propozycję, wyrażając zgodę w manierze wielkich dam, które cokolwiek czynią, to zawsze zaszczycają kogoś swoją łaskawością.

Patience mogła przystąpić do pakowania. Najpierw spakowała ciotki, a potem sięgnęła po starą skórzaną walizę, którą odziedziczyła po matce, i przerzuciła do niej z szafy i szuflad wszystko, co miała najlepsze.

Nazajutrz zgodnie z umową przybył pan Van der Beek, podbił raz jeszcze ciotki swoją uprzejmością, a kiedy znalazły się już w swoich rodzinnych pieleszach, przekazał je w ręce panny Murch, która powitała je z należytym szacunkiem i zaprowadziła do ich dawnych pokoi.

Nadeszła chwila rozstania. Patience żegnała ciotki ze smutkiem w sercu, ale bez obawy, że może im czegokolwiek zabraknąć. Z panną Murch wymieniła niemal serdeczny uścisk dłoni, po czym pobiegła do samochodu, gdzie już czekali na nią Basil i jego pan.

- Przed nami dwie godziny jazdy - oznajmił lakonicznie, po czym przez dłuższy czas milczał.

Dopiero za Chelmsford przypomniał sobie o swojej pasażerke i zaczął ją bawić rozmową. Posiadał umiejętność interesującego mówienia właściwie o niczym, lecz dowiedziała się tyle przynajmniej, że jego siostra ma na imię Marijke.

Dojechali do Londynu w porze gigantycznych korków, więc zapuścili się w labirynt bocznych ulic, aby rzekomo nadrabiając drogi, faktycznie ją skrócić. Wciąż jadąc na zachód, dotarli wreszcie do Chiswick, gdzie cisza po zatłoczonym centrum okazała się miłą niespodzianką.

Patience wysiadła z samochodu i zaraz wyraziła swój zachwyt.

- Ta rzeka, ta zieleń, ten spokój... Aż nie chce się uwierzyć, że jesteśmy w Londynie! - Spojrzała na dom. - Czy jest naprawdę pana własnością?

Pytanie rozbawiło go.

- Naprawdę. Dlaczego pytasz? Nie pasujemy do siebie?

- Wręcz przeciwnie. Tylko zawsze myślałam, że mieszka pan w jednym z tych nowoczesnych apartamentów z balkonami i windą.

- Broń Panie Boże! Zresztą miło mi słyszeć, że myślałaś o mnie, Patience.

Zaczerwieniła się jak piwonia, gorączkowo poszukując jakiejś dowcipnej odpowiedzi. Zanim jednak ją znalazła, pan Van der Beek wziął ją pod ramię i podprowadził do otwartych frontowych drzwi, gdzie już stał Dobbs z promiennym uśmiechem na twarzy. Uprzedzony przez pannę Murch o przyjeździe miłej i pracowitej młodej kobiety, Dobbs zaakceptował Patience od pierwszego wejścia. Przyrzekł panie Murch opiekować się nią i wiedział już, że z przyjemnością dotrzyma danego słowa.

Kiedy weszli do środka, gdzieś z głębi domu dobiegł ich przeraźliwy płacz dziecka.

- Oto masz pierwszy dowód - pan Van der Beek zwrócił się do Patience - jak niezbędny był twój przyjazd, by zaprowadzić w moim domu spokój i zapewnić jego mieszkańcom w miarę normalne warunki życia.

Poprzedzani przez Dobbsa, przemierzyli hol, poszli długim korytarzem, by wreszcie znaleźć się w niewielkim, ale komfortowo urządzonej pokoju na tyłach domu. Na ich widok z okrzykiem radości na ustach wstała z krzesła jasnowłosa dziewczyna o pięknej twarzy i oczach jak niebo Italii. Trzymała w ramionach dziecko.

Wypowiedziała pierwsze słowa w języku holenderskim, ale zaraz przeszła na angielski.

- Przepraszam, ale zapomniałam się z radości na twój widok. - Pocałowała brata w policzek i podała rękę Patience. - Jestem Marijke ter Katte, a ty zapewne jesteś Patience. Tak się cieszę, że przyjechałaś.

Rosie wygląda w tej chwili na kłopotliwą osóbkę, zazwyczaj jednak daje sobie z nią radę...

Pan Van der Beek wziął rozkrzyczone dziecko z rąk matki i zaczął je kołysać w ramionach.

- Gdzie podziewa się Rinus?

- Poszedł na spacer.

- A to tchórz. Jesteś zmęczona, lieveling. Zanieśmy tę zapłakaną młodą damę do łóżeczka, bo w jej obecności, obawiam się, jakakolwiek rozmowa będzie niemożliwa. Co z nianią?

- Miała dziś w nocy operację. Wycięto jej ślepą kiszkę. - Marijke spojrzała na Patience. - Czy nadal uważasz, że podołasz obowiązkowi sprawowania opieki nad Rosie?

- Ależ oczywiście. - Zapłakany maleńki cherubinek podbił jej serce w jednej sekundzie. - Z tym, że musisz wytłumaczyć mi wszystko ze szczegółami. Najlepiej, żebyś już teraz pozwoliła mi rozebrać Rosie, wykapać ją i położyć do łóżeczka.

- Nie znasz jeszcze tego domu i nie wiesz, co gdzie się znajduje - z lekką nutką sceptycyzmu odparła matka cherubinka.

- Ja zaniosę Rosie na górę - powiedział pan Van der Beek - i pokażę Patience wszystko, co trzeba. Ty zaś zostań tutaj i zorganizuj dla nas coś do picia.

Na schodach Rosie przestała wrzeszczeć. Gdzieś w połowie schodów jeszcze pojękiwała, by na ich szczycie głośno się roześmiać.

Na piętrze minęli wiele drzwi, zanim pan Van der Beek wprowadził Patience do seledynowo-różowego buduaru z oknem wychodzącym na ogród.

- Zajmiesz pokój obok. Łazienka jest po drugiej stronie korytarza. - Usiadł na krześle i posadził sobie Rosie na kolanach. - Jeśli przygotujesz kąpiel, wypłuskamy Rosie i położymy ją do łóżeczka.

Twarz Patience wyrażała w tej chwili same wątpliwości.

- Sądzę, że dałabym sobie...

- Wiem, jednak pierwszego dnia przyda ci się pomoc. Rosie potrafi się uśmiechać, lecz tylko do osoby, którą polubi.

Los okazał się łaskawy. Rosie chyba polubiła Patience, gdyż dała się rozebrać, wykapać, a potem ubrać w piżamkę. Kiedy zaś została otulona kołderką, wujek pocałował ją na dobranoc, stwierdził, że dziecko uśnie za pięć minut i wyszedł.

No dobrze, lecz cóż ja będę porabiać w tym domu, kiedy Rosie będzie spała? - zapytała siebie w duchu Patience.

Dziewczynce jednak daleko jeszcze było do zaśnięcia.

- Śpiewaj - poprosiła sepleniącym głosem kilkunastomiesięcznego brzdąca.

W pierwszej sekundzie na twarzy Patience odbiło się zaskoczenie, że Rosie już mówi; myślała dotąd, że cherubinek potrafi tylko śmiać się i płakać. Zaraz jednak sięgnęła pamięcią do wszystkich zasłyszanych niegdyś dziecięcych kołysanek i zaczęła śpiewać.

Pan Van der Beek, który wracał po schodach na górę, aby sprawdzić, jak Patience sobie radzi, usłyszał jej śpiew. Pod drzwiami zatrzymał się i niemal wstrzymał oddech. W ten sposób miał szansę wysłuchać słów piosenki śpiewanej czystym, ciepłym głosem.

Wszedł do pokoju dopiero wówczas, gdy zapadła głęboka cisza.

- Śpi? - zapytał.

Patience kiwnęła głową. Poinformował ją szeptem, że jej rzeczy są już w jej pokoju i że gdy tylko się ogarnie, ma zejść do salonu.

Pokój Patience okazał się trochę większy od pokoju

Rosie i też był urządzony w pastelowych kolorach. Spodobał się jej.

Podkreśliła szminką usta, przyczesła włosy i rzuciwszy raz jeszcze okiem na dziecko zeszła do holu, gdzie czekał na nią Dobbs.

- Tędy, proszę. W ogromnym salonie zastała prócz pana Van der Beeka i jego siostry również jej męża. Jak na prawdziwego Holendra przystało, okazał się wysokim mężczyzną o jasnych włosach i sympatycznej, choć nieregularnie wyrzeźbionej twarzy.

Kiedy Rinus ter Katte przywitał się z Patience, całą czwórką przeszli do jadalni.

Na okrytym adamaszkowym obrusem stole błyszczały ciężkie srebra, stała chińska porcelana i szklane osiemnastowieczne kieliszki do wina. Patience wiedziała, że muszą być bardzo cenne, gdyż podobne dwa posiadała ciotka Bessy, która niejednokrotnie powtarzała, że mogą być sprzedane wyłącznie w celu pokrycia kosztów jej pogrzebu.

Patience była głodna i spałaszowała wszystkie dania, począwszy od cebulowej zupy a skończywszy na szarlotce ze śmietaną.

Przez cały czas mówiła właściwie tylko Marijke ter Katte. Głównie zwracała się do Patience.

- Nie myśl, że zawsze zostawiam Rosie na cały dzień z opiekunką. Po prostu ostatnio nie najlepiej się czuję. Prędko męcę się, a to może wpłynąć źle na j moje drugie dziecko. Niemniej na godzinę po śniadaniu i i na godzinę przed położeniem Rosie do łóżka będę j brała ją do siebie. Czy odpowiada ci to? Będiesz i miała bardzo mało czasu dla siebie i pewnie uznasz, że jestem samolubną egoistką.

- Na pewno tak nie pomyślę - odparła Patience.

- Rosie będzie dla mnie wielką przygodą. Nigdy jeszcze nie opiekowałam się dzieckiem, mimo to mam

nadzieję, że będę dobrą nianią. Wszystko będzie zależeć od tego, czy Rosie mnie polubi.

Mężczyźni podczas obiadu konsekwentnie milczeli. Dopiero tuż przed udaniem się na spoczynek pan Van der Beek powiedział do Patience:

- Cały jutrzejszy dzień spędzę w szpitalu, więc zobaczymy się dopiero wieczorem. Dobranoc.

Patience wróciła do swojego pokoju. Łóżko już było rozesłane, zasłony zasunięte, a na nocnym stoliku stała szklanka i butelka z wodą mineralną. Łatwo się było domyślić, że Jenny, pokojówka, pomimo przejęcia licznych obowiązków panny Murch, radzi sobie doskonale ze wszystkim.

Małe dzieci budzą się wcześniej, a Rosie nie była wyjątkiem.

Zanim jeszcze rano otworzyła oczy, Patience poczuła, że dziewczynka szturcha ją paluszkami w policzek. Szybko wstała, umyła i ubrała siebie i dziecko, po czym wyszła z nim do ogrodu.

Poranek, jakkolwiek dość chłodny, cieszył oczy błękitnym niebem i blaskami słonecznymi. Trzymając się za ręce, spacerowały wśród klombów po miękkim trawniku i próbowały ze sobą rozmawiać. Głównie jednak porozumiewały się spojrzeniem, miną, gestem, uśmiechem.

Nie wiedziały, że są obserwowane. Pan Van der Beek patrzył na nie przez okno swojej sypialni. Był już ubrany i mógł właściwie do nich dołączyć, lecz coś go powstrzymywało. Domyślał się, co to za hamulec. Patience z tygodnia na tydzień stawała się jego obsesją, sprawczynią chaosu w jego uporządkowanym dotąd życiu. Świadomy niebezpieczeństw, przyrzekł sobie, że będzie widywał się z nią tylko wówczas, gdy będzie to konieczne.

Po spacerze i śniadaniu, które zjadły w towarzystwie konia na biegunach i lali, Patience zaprowadziła

Rosie do matki. Miała teraz godzinę dla siebie i postanowiła przejść się nad rzeką i przy okazji rozejrzeć po okolicy.

Przede wszystkim uderzyła ją cicha, prawie wiejska atmosfera otoczenia. Nie mogła zrozumieć, dlaczego pan Van der Beek osiadł w Themelswick, by napisać tam swoją książkę, skoro tutaj miał idealne wprost warunki do pracy. Chyba że prowadził tak bogate życie towarzyskie, iż uciekł nie tyle przed zgiełkiem wielkiego miasta, co przed przyjaciółmi i znajomymi...

Wróciła do domu i Rosie na jej widok pokazała rączką na butki i wózek-parasolkę, zaś Dobbs poinformował ją, że w sąsiedztwie znajduje się niewielki ogródek jordanowski.

- Jej niania - dodał z uśmiechem - zawsze zabierała ze sobą piłkę, aby uczyć Rosie, jak można kontynuować wielkie tradycje drużyny holenderskiej. Obiad Rosie je w południe. Równocześnie mogą też podać lunch panience. Potem godzina snu, podczas której panienka ma, jak to się mówi, wolne.

Dzień minął bez poważniejszych komplikacji, a cherubinek, wszystko na to wskazywało, upodobał sobie Patience. Rosie gaworzyła w ojczystym języku i słuchała ze zrozumieniem odpowiedzi w języku angielskim. Jadła lepiej niż w ostatnich dniach i, co najważniejsze, nie uroniła ani jednej łzy.

Po obiedzie Patience ułożyła ją do snu i stanęła przed zasadniczą kwestią, czym by tu się zająć. Najbardziej miała ochotę na jakąś ciekawą lekturę, lecz krępowała się otwierać wszystkie drzwi w domu w poszukiwaniu książki. Uczyniła więc to, co wiele osób by zrobiło na jej miejscu. Podeszła do okna na końcu korytarza, otworzyła je i oparłszy się łokciami o parapet zaczęła podziwiać wysmakowane ogrodowe kompozycje.

W pewnej chwili głośno powiedziała:

- Musi być bardzo bogaty.

Nie było obawy, by ktoś mógł ją usłyszeć, ona zaś bardzo pragnęła usłyszeć czyjś głos, choćby nawet swój własny.

- To człowiek urodzony pod szczęśliwą gwiazdą.

- Chyba masz rację, Patience - usłyszała tuż za swoimi plecami.

Błyskawicznie odwróciła się i znalazła się twarzą w twarz z panem Van der Beekiem. Uśmiechał się.

- Doprawdy, nie powinien pan tego robić - zasyzczała. - Mogłam z przestachu krzyknąć i obudzić Rosie.

- Kiedy Rosie zaśnie, to w jej pokoju bez żadnych konsekwencji może grać cała orkiestra Marynarki Królewskiej. Czy czujesz się samotna?

- Skądże znowu! Jak można czuć się samotną mając za towarzyszkę Rosie? Dość absurdalne przypuszczenie.

Zamierzał wrócić do domu dopiero wieczorem, lecz nie załował zmiany planów. Pomimo całej swej rzeczowości i pragmatyzmu, Patience wyglądała na opuszczoną, zagubioną, samotną. Chociaż, z drugiej strony, dlaczego miałyby się tym przejmować...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pan Van der Beek nie miał zamiaru analizować zbyt dokładnie swoich uczuć. Wytłumaczył sobie, że zainteresowanie dziewczyną wzięło się z poczucia obowiązku. Wyrwał Patience z jej spokojnego prowincjonalnego życia i teraz musi zapewnić jej pewien komfort aklimatyzacji na nowym miejscu.

- W najbliższą sobotę - powiedział patrząc przez okno na swój starannie wypielegnowany ogród - wybieram się z Marijke, Rinusem i Rosie do Berkshire. Wrócimy dopiero około czwartej po południu. Mówię o tym już dzisiaj, gdyż może chciałabyś wybrać się do miasta po zakupy?

Oczy Patience zabłysły.

- Ależ oczywiście, dziękuję.

U Marksa i Spencera, Selfridgesa i w innych tego typu magazynach z pewnością znajdzie coś ładnego na lato, a co najważniejsze, po przystępnej cenie.

Widząc jej rozjaśnioną twarz, pan Van der Beek zapragnął nagle oprowadzić ją po ekskluzywnych butikach Bond Street. Pragnienie to jednak natychmiast odepchnął od siebie. Z wielu względów nie mógł ulegać tego typu zachciankom.

Ruszył korytarzem w kierunku schodów. Trzymając już dłoń na poręczy, odwrócił się.

- Ze wszystkimi kłopotami przychodź, proszę, do mnie.

Do końca tygodnia widywali się tylko podczas wieczornych obiadów, kiedy to pan Van der Beek, z charakterystyczną dlań nienagannością manier,

a równocześnie z jakimś formalnym chłodem, próbował zabawiać ją rozmową. Wyczuwała w tym przymus obowiązku i tym bardziej starała się tak żyć, by jak najmniej rzucać się w oczy i zaprzętać sobą uwagę mieszkańców domu w Chiswick.

Ale chowanie się w cień niczemu nie mogło zapobiec. Dla pana Van der Beeka Patience była jak myszka, która, mimo że cicho przycupnięta gdzieś w kącie za meblem, tym bardziej narzuca się świadomości i absorbuje ją.

Patience z ręką na sercu mogła wyznać, że opiekanie się Rosie sprawia jej ogromną przyjemność, a nawet wyzwala w niej macierzyńskie uczucia, niemniej perspektywa wolnego dnia wprawiła ją w stan radosnego podniecenia. Jedyнным dysonansem w ogólnej harmonii wydawał się stosunek do niej pana Van der Beeka. Nie było w nim krztyny serdeczności, za to, prócz nienagannej grzeczności, dużo chłodu, a nawet zimna. Toteż na wszelkie możliwe sposoby unikała go, co zresztą nie należało do rzeczy trudnych.

W sobotę uściskała Rosie, pomachała jej na pożegnanie ręką, po czym wybrała się autobusem do centrum. Wsiadła na Oxford Street przy Marble Arch i wstąpiła do domu towarowego firmy Marks i Spencer. Już pobieżny rzut oka wystarczył, ażeby zorientować się, że nie musi chodzić gdzie indziej. Po dwóch godzinach znalazła się z powrotem na chodniku Oxford Street jako szczęśliwa posiadaczka jasnoróżowej bawełnianej sukienki, kwiecistej spódnicy, kilku bluzek i kompletów bielizny oraz nieprzemakalnej lekkiej kurtki. Zaszła jeszcze do pobliskiej kawiarenki na kawę i wróciła do Chiswick.

- Czy udały się zakupy, panienko? - zapytał Dobbs na jej widok.

- A czy w Londynie mogą się nie udać? - odpowiedziała pytaniem na pytanie i uśmiechnęła się.

Została następnie poproszona na lunch do jadalni, gdzie na stole pojawiła się zupa cebulowa, omlet z pieczarkami, sałatka z cykorii i jabłek oraz *crime brulee*. Wszystko to rozplątało się w ustach, zaś Dobbs obsługiwał ją jak kelner w najlepszej restauracji. Na koniec, nalewając jej kawę, Dobbs w imieniu pana Van der Beeka zasugerował Patience, by zadzwoniła do Themelswick do ciotek. Ten kolejny dowód troskliwości przyjęła ze szczerą wdzięcznością w sercu.

Telefon odebrała panna Murch. Wymieniły pozdrowienia, po czym gospodyni poprosiła do aparatu obie ciotki.

Starsze panie zawsze traktowały telefon niechętnie i z podejrzliwą bojaźnią, toteż rozmowa z nimi trwała krótko. Zdrowie im dopisywało i nie miały żadnych zastrzeżeń do panny Murch, która bardzo dobrze opiekowała się nimi. Te dwie wiadomości całkiem wystarczyły Patience. Uściskawszy na odległość „ciotunie”, odłożyła słuchawkę.

Chwilę stała, zastanawiając się, gdzie teraz skierować swe kroki, gdy nagle pojawił się przy niej Dobbs z propozycją rozwiązania tego problemu.

- Przygotowałem w salonie kilka najświeższych gazet i pism ilustrowanych. Myślę, że panienka chętnie zasiądzie w fotelu i przeczyta coś dla odprężenia. Telefonował właśnie pan Van der Beek, by uprzedzić, że wrócą dopiero o piątej.

Spędziła więc popołudnie na rozkosznym lenistwie, czytając, drzemiąc i pijąc herbatę, która, mimo że zawsze dobra, dziś smakowała wyjątkowo.

Na ogromnym zegarze w salonie dochodziło wpół do szóstej, gdy usłyszała samochód. Po chwili weszli państwo ter Katte z córeczką. Marijke wyglądała na bardzo zmęczoną i razem z mężem udała się na górę. Rosie natomiast z radosnym paplaniem wdrapała się na kolana Patience.

Zaczęły rozmawiać ze sobą w na poły mimicznym języku, często-gęsto przetykanym śmiechem i chichotami, a że rozumiały jedna drugą tylko częściowo, tym bardziej pochłaniała je ta rozmowa. W rezultacie umknął ich uwadze, fakt, że w pokoju znajduje się jeszcze ktoś trzeci.

Pan Van der Beek już od kilku minut stał oparty o framugę drzwi i z lekkim uśmiechem na twarzy przyglądał się Patience. Wyglądała naturalnie i bardzo dziewczęco. Pomyślał o elegancko ubranej młodej kobiecie, którą poznał dziś u przyjaciół w Berkshire i która stawała na głowie, by zainteresować go sobą. Była dowcipna i inteligentna, bardzo ładna i modnie ubrana, ale poza jednym konwencjonalnym „hello” rzuconym pod adresem Rosie, w ogóle nie zwracała uwagi na dziecko. A oto miał przed sobą Patience, która, odwrotnie, cała była skupiona na dziecku, a z kolei nie zwracała uwagi na to, co Rosie wyczynia z jej nową sukienką, że po prostu gniecie ją i brudzi bucikami... Tu pan Van der Beek zganił siebie w duchu, że zmarnował tyle czasu na myślenie o dziewczynie z hrabstwa Norfolk.

- Dobry wieczór, Patience - odezwał się dekonspirując swoją obecność.

Odwróciła ku niemu rozjaśnioną twarz.

- Dobry wieczór, panie Van der Beek. Zabiorę teraz Rosie na górę, wykąpię ją i dam kolację.
- Wstała i wzięła dziecko na ręce. - Pożegnaj się z wujkiem, Rosie.

Dziewczynka nadstawiła policzek, a wujek złożył na nim głośny pocałunek.

Zanim dziecko znalazło się w łóżku i zasnęło, nastała już pora obiadu. Patience zdażyła jeszcze się przebrać w kupioną dzisiaj kwiecistą spódnicę oraz jedną z bluzek, po czym zeszła na dół do salonu. Marijke ter Katte, której zmęczenie minęło bez śladu, siedziała

razem z mężem na otomanie i wskazała Patience miejsce po swojej lewej stronie.

- Usiądź przy mnie, Patience. Jak sprawowała się Rosie?

- Jak aniołek. Zjadła całą kolację i prawie natychmiast zasneja.

- Był to dla niej dzień pełen wrażeń. Bawiła się z dziećmi naszych przyjaciół i nietrudno zgadnąć, co znaczyła dla niej taka zabawa w gronie równolatków. Nasi przyjaciele nic się nie zmienili od czasu naszej ostatniej wizyty, prawda? - Spojrzała na brata. - I jaki piękny mają dom. Czy spodobała ci się ta Sadie Beauchamp? Jest bardzo ładna, a przy tym czarująca. Pasujecie do siebie.

- Tak.

Rzuciwszy to spokojne w tonie potwierdzenie, pan Van der Beek przeniósł wzrok na Patience, której dłonie zacisnęły się na kwiecistym materiale spódnicy.

- Jest oczywiście dużo mądrzejsza ode mnie - zauważyła Marijke - chociaż ja jestem dostatecznie mądrą kobietą, aby posiadać takie cudo jak Rosie.

Uśmiechnęła się, pewna miłości męża i brata. Ci zaś swoimi uśmiechami upewnili ją, że nie myli się co do ich uczuć.

W połowie obiadu pan Van der Beek wezwany został do telefonu, po czym wrócił z wiadomością, że wyjeżdża i nie wie, o której godzinie wróci. Długo przed świtem obudził Patience płacz Rosie. Dziewczynka siedziała w łóżeczku, zapewne przerażona jakimś sennym koszmarem, a łzy strużkami ciekły jej po policzkach. Patience wzięła ją na ręce i zaczęła tulić i kołysać. Płacz raz ustawał, raz znów przechodził w głośne zawodzenie.

- Cicho, złota dziecinko, bo inaczej obudzisz mamusię i tatusia, i wujka Juliusa...

- Wujek Julius nie kładł się jeszcze do łóżka - powiedział od drzwi pan Van der Beek.

Podszedł do Patience i delikatnie odebrał od niej zalaną łzami siostrzenicę. Na jego twarzy malowało się krańcowe zmęczenie. Poczwała nagle gwałtowny przypływ uczuć opiekuńczych. Gdyby miał żonę, pomyślała, ta zaprowadziłaby go do sypialni, pomogła mu się rozebrać, a na koniec przyniosłaby mu z kuchni filiżankę gorącej herbaty. Zapragnęła stać się chociaż na chwilę tą żoną. I gdyby jej szeroko otwarte oczy, i rozchylone usta dawały się jednoznacznie interpretować, pan Van der Beek mógłby już znać to pragnienie.

- Zasypia - powiedział, całując Rosie w główkę i kładąc ją z powrotem do łóżeczka.

- Śpiewaj - poprosiło dziecko głosem, który natychmiast przeszedł w głębokie westchnienie.

- Tak, śpiewaj, Patience. - Pan Van der Beek dołączył swoją prośbę do prośby siostrzenicy. - Za kilka minut powinna zasnąć. Dobranoc.

Rzecz dziwna, ale jego głos brzmiał w tej chwili nawet bardziej surowo niż zazwyczaj.

Mimo nocnego przebudzenia Rosie zaczęła dzień o normalnej porze. Był piękny majowy poranek. Skapany w słońcu kwitnący ogród zapraszał do krótkiej przechadzki z dzieckiem przed śniadaniem. W holu natknęły się na pana Van der Beeka. Był elegancko ubrany i nic nie wskazywało na to, że prawie nie spał dzisiejszej nocy. Pozdrowił Patience krótkim skinieniem głowy, siostrzenicę zaś pociągnął żartobliwie za nosek.

Nagle, całkiem niespodziewanie dla siebie, Patience powiedziała, czy też raczej coś w niej powiedziało:

- Nie pójdzie pan do żadnej pracy! Spał pan tylko dwie godziny. Nie można służyć dwóm bogom naraz.

Ośłupienie malujące się na jego twarzy kazało jej

zamilknąć. Zaczerwieniła się po białka oczu. Coś jeszcze chciała powiedzieć, ale wiedziała, że dobrze się stało, że tego nie powiedziała. Kochała go, a on potrzebował jej opieki. Wszystko to nagle wydało się jej przerażające. Rumieńce na jej policzkach ustąpiły miejsca śmiertelnej bladości.

Pan Van der Beek wpatrywał się w nią zmrużonymi oczyma. Potem bardzo wolno pochylił się i pocałował ją w usta. Gdy odzyskała zdolność widzenia, już go nie było w holu.

Przez resztę dnia Patience obmyślała sposoby, jak uniknąć spotkania z nim, kiedy wróci wieczorem do domu. Przy podwieczorku okazało się, że układała swoje plany zupełnie niepotrzebnie. Marijke poinformowała ją, że poleciał do Północnej Irlandii, by zoperować żołnierza, któremu kula utkwiała w okolicy serca.

- Mam tylko nadzieję - dodała - że nikt go tam nie zastrzeli.

Ujrzeli go dopiero po dwóch dniach, Patience jedynie na sekundę w korytarzu, gdyż zaraz wybrał się z siostrą i szwagrem do szpitala do niani. Zbliżał się termin jej powrotu do domu i do Rosie, co z kolei oznaczało dla Patience koniec jej pobytu w Londynie i wyjazd do Themelwick.

Wieczorem pan Van der Beek wszedł do pokoju dziecinnego i już od progu zapytał, czy nie wybrałaby się z nim do jakiegoś lokalu.

Jej radość jednak nie trwała długo.

- Jest coś - dodał - co chciałbym z tobą przedyskutować.

Patience mogła być zakochana, lecz zachowała jeszcze zdolność logicznego myślenia.

- Jeśli ma pan zamiar powiedzieć mi, że moja rola przy Rosie dobiegła końca, to proszę zrobić to już teraz. Spodziewałam się przecież nadejścia takiego

dnia, kiedy niania wyzdrowieje, a ja będę musiała spakować walizki.

- Zechciej jednak, Patience, przyjąć moją propozycję. Wyruszamy o wpół do ósmej. I w imię zdrowego rozsądku pohamuj na razie wszelkie przypuszczenia.

Gdy odszedł, zamyśliła się. Nieczęsto w swym życiu była zapraszana przez mężczyznę do restauracji, a prawdę mówiąc, nie była zapraszana w ogóle. Tym razem jednak to też nie było zaproszenie mężczyzny, tylko raczej próba znalezienia przez chlebodawcę odpowiedniej, eleganckiej formy dla ogłoszenia z góry powziętej decyzji. Mimo wszystko wiedziała, że pójdzie. Co prawda, nic a nic go nie obchodziła, ale za to on ją obchodził i takie dwie czy trzy godziny w jego towarzystwie będą dla niej czymś wręcz bezcennym. W rezultacie zaczęła zastanawiać się, co na siebie włoży. Wybór w gruncie rzeczy nie należał do trudnych. W grę wchodziła, jako najelegantsza i odpowiednia na taką okazję, jedynie kremowo-brązowa dżersejowa sukienka. Nie zniosłaby myśli, że pan Van der Beek czuje się skrzepowany i zawstydzony swoją źle ubraną towarzyszką.

Zabrał ją do małej, ale cieszącej się uzasadnioną sławą restauracji na Walton Street - „Ma Cuisine”. Uznał, że wyrafinowanie tego lokalu osiągnęło już taki poziom, że nawet skromnie ubrana osoba może czuć się tam zupełnie swobodnie. Jeśli o niego chodzi, to Patience mogłaby oblec się nawet w worek, ale znał jej wrażliwość i nie chciał, by cierpiała męki z powodu zażenowania.

Kiedy usiedli przy stoliku, Patience przede wszystkim rozejrzała się po gościach. Odetchnęła z ulgą. Stroje kobiet, jakkolwiek bez wątpienia eleganckie, były stonowane wymogiem dobrego smaku, który nie znosi wszelkiej ekstrawagancji, zaś garnitury mężczyzn, mimo że każdy z nich dobrze wiedział, co to haracz płacony

najlepszemu krawcowi, ukrywały kunszt igły i kroju w subtelnych detalach.

Uśmiechnęła się nieśmiało do swego towarzysza, który obserwował ją spod lekko przymkniętych powiek.

- Bardzo miłe miejsce.

Pan Van der Beek wiedział, co Patience chce przez to powiedzieć, dostrzegł bowiem taksujące spojrzenie, którym obrzuciła salę, przede wszystkim zaś inne kobiety.

- Nie znasz jeszcze kuchni, a ta jest wyśmienita.

Faktycznie, jedzenie okazało się rozkoszą dla podniebienia. Homary w szampanie, jagnię szpikowane czosnkiem i mrożony orzechowo-migdałowy krem z malinami, wszystko to wraz ze starannie dobranymi trunkami składało się na jedyne w swoim rodzaju kulinarne przeżycie.

Rozmowę, na ogólne zresztą tematy, prowadził pan Van der Beek. Czynił to z wdziękiem i dużą kulturą, niemniej Patience przez cały czas zastanawiała się, kiedy wreszcie przejdzie do rzeczy. Stało się to przy kawie i kruchych ciasteczkach.

- W przeciągu tych dwóch minionych tygodni byłaś dla Marijke prawdziwym ratunkiem i skarbem. Jesteśmy ci bardzo wdzięczni za twoje poświęcenie, Patience, i potrafimy je należycie ocenić. Jak wiesz, widzieliśmy się dzisiaj z nianią, rozmawialiśmy też z opiekującym się nią lekarzem. Otóż stan zdrowia niani pozwala jej już co prawda na opuszczenie w tych dniach szpitala, ale nie na podjęcie obowiązków przy Rosie. Jest to kwestia jeszcze około trzech tygodni. Czy wobec tego zgodziłabyś się wyjechać na ten okres z moją siostrą do Holandii? Ma się rozumieć, opieka panny Murch nad twoimi ciotkami automatycznie przedłuży się. - Przerwał, lecz kiedy już otwierała usta, by coś powiedzieć, nie dopuścił jej do

głosu. - Nie, nie śpiesz się z odpowiedzią. Najpierw spokojnie przemyśl moją propozycję, a przede wszystkim zadzwoń do ciotek i zapytaj je o zgodę. Ani mi w głowie zmuszać cię do czegokolwiek.

Zapra gnęła wyznać mu, że takim przymusom ulegałyby z radością codziennie, gdyż były jak prezenty pod choinką, zabrakło jej jednak śmiałości. Niemniej było coś, co musiała wiedzieć.

- Czy pan również wybiera się do Holandii?
- zapytała.

- Tak. Będę tam prawie przez cały ten czas. Mam dwie ważne sprawy do załatwienia. Myślę, że najpierw wyjedzie Rinus z nianią, by na okres rekonwalescencji zainstalować ją u jej siostry, a potem ja z Marijke, Rosie i ewentualnie z tobą.

- A Basil?

Uśmiechnął się.

- Zostanie z Dobbsem, za którym zresztą przepada. Przypomniała sobie o pewnej ważnej rzeczy.

- A o jakim konkretnie miejscu mówimy?

- Rinus mieszka w Hadze.

- Pan również?

- Nie, ale Holandia jest małym krajem i mieszkam niedaleko.

„Niedaleko” mogło równie dobrze oznaczać „wszędzie”. Chciał ją zbyć niczym, co zraniło jej dumę.

- Czy zna pan już datę wyjazdu?

- Co do dnia trudno mi powiedzieć. Wiem tylko, że Rinus powinien wyjechać w przeciagu dwóch dni. Wiem też, że musimy wybrać się do Themelwick, co zajmie nam cały dzień. Widzę to w ten sposób, że z Londynu wyjedziemy rano, stamtąd zaś wyruszymy wczesnym wieczorem. Przy czym, gdy ty będziesz z ciotkami, ja będę musiał wpaść na kilka godzin do Norwich.

A zatem wszystko już było zaplanowane. Był pewny jej decyzji, gdyż wiedział, że ona, Patience, potrzebuje pieniędzy. Uświadomiła sobie z goryczą, że było mu bardzo wygodnie korzystać z jej usług, najpierw tam, w domostwie i przy książce, a teraz tutaj, przy siostrzenicy. Nic na to jednak nie mogła poradzić, gdyż kochała go i gotowa była spełnić każdą jego prośbę.

- Sądę, że wszystko pójdzie po pana myśli. Jestem wręcz pewna, że ciotunie wyrażą zgodę. Ostatecznie nie jest pan zwykłym cudzoziemcem. W Anglii pan mieszka i w Anglii pracuje.

Ledwie że zdołał skryć rozbawienie. Nigdy dotąd nie spotkał kogoś takiego jak Patience. Jego matka nazwałaby ją staromodną dziewczyną. Ale jej staroświeckość chodziła w parze z niezależnością i przytomnością umysłu. Czasami również potrafiła dać się we znaki ciętą odpowiedzią.

- Wyjeżdżamy więc do Themelswick pojutrze, gdy jeszcze Rinus będzie mógł zastąpić cię przy Rosie.

- Wspaniale.

- A więc postanowione. Czy zamówimy jeszcze po kawie?

Nie miał nic więcej do powiedzenia o podróży do Holandii, a ona po namyśle postanowiła nie męczyć go pytaniami. Zeszli w rozmowie na temat ulubionych książek. Rzecz dziwna, ale odkryli w sobie pokrewieństwo gustu i smaku. W innych okolicznościach mogliby stać się serdecznymi przyjaciółmi. A może, targnęło nią podejrzenie, on tylko udaje, że lubi te same powieści i te same filmy, i te same utwory muzyczne? Udaje, gdyż podchlebiając jej chce ją ugłaskać, by mieć tym większą pewność jej wyjazdu do Holandii.

Co pomyślała, temu natychmiast dała wyraz.

- Doprawdy, nie musi pan we wszystkim zgadzać się ze mną. I tak pojedę do Holandii. Potrzebuję tej pracy.

Błysk gniewu przemknął po jego twarzy.

- Wolałbym, żebyś nigdy tego nie powiedziała. Spuściła oczy i dopiero po pewnej chwili odważyła się spojrzeć na niego.

- Proszę wybaczyć mi. Zachowałam się wobec pana okropnie.

- Gorzej niż okropnie. Po prostu skrzywdziłaś mnie. Nie rób tego już więcej.

- Przrzekam. Mam nadzieję, że nie zepsułam tego wieczoru. Był uroczy.

Jego twarz rozchmurzyła się i pojawił się na niej uśmiech.

- Kiedy będziesz w Holandii i kiedy już niania przejmie od ciebie Rosie, musisz zwiedzić ten kraj. Jest tam dużo interesujących miejsc.

I zaczął opowiadać o mniej znanych atrakcjach, jakie czekają na turystę w jego ojczyźnie.

Było już bardzo późno, kiedy wrócili do domu, lecz pan Van der Beek wyszedł jeszcze z Basilem na spacer. Idąc do siebie na górę, Patience uśmiechnęła się. Jej obawy przysły. Będzie widywała go jeszcze przez kilka tygodni.

Przy śniadaniu dowiedziała się od Dobbsa, że pana Van der Beeka nagle wezwano o czwartej nad ranem do szpitala. A więc spał, pomyślała, zaledwie trzy godziny.

- Stanowczo zbyt ciężko pracuje.

Dobbs całkowicie zgodził się z nią. Od dawna uważał, że pan Van der Beek powinien się ożenić. Oczywiście, jego żona nie tyle odrywałaby go od pracy, co czyniła jego życie bardziej uporządkowanym, a przez to mniej nerwowym i wyczerpującym.

Dzień minął, a pana Van der Beeka wciąż nie było w domu. Patience położyła Rosie spać, przebrała się i zeszła do salonu. Zastała tam tylko Marijke i Rinusa, który podał jej drinka.

- Nie wiem - powiedziała Marijke - co uczynilibyśmy bez ciebie, Patience. To dzięki tobie mogliśmy załatwić wszystkie te sprawy, z myślą o których przyjechaliśmy do Londynu. Mam nadzieję, że spodoba ci się u nas w Hadze. Przyrzekam, że będziesz dysponowała tam większą ilością wolnego czasu, gdyż nasza pokojówka, która uwielbia Rosie, chętnie każdego dnia weźmie ją od ciebie na godzinę lub dwie.

Porozmawiali jeszcze przez jakiś czas o Hadze, po czym uznali, że dłużej nie mogą już czekać z obiadem. Po obiedzie przeszli z powrotem do salonu. W dziesięć minut później zadzwonił telefon. Ponieważ Rinus siedział najbliżej aparatu, on podniósł słuchawkę. Mówił po holendersku, mimo to Patience wiedziała, że rozmawia ze szwagrem.

- To Julius - powiedział rozłączając się. - Zrobił dziś rano operację przeszczepienia serca i musi doglądać pacjenta. Tobie, Patience, kazał przekazać, żebyś była gotowa do wyjazdu o wpół do dziewiątej jutro rano.

Co za ulga! Już bowiem zaczęła obawiać się, że wyjazd do Themelswick nie dojdzie do skutku.

Obudziła ją pokojówka Jenny. Weszła do jej pokoju z filiżanką herbaty oraz wiadomością, że śniadanie będzie gotowe za kwadrans ósma. Ponieważ dziecko wciąż spało, Patience zajęła się najpierw sobą. Kiedy już była wykąpana, ubrana i spakowana, poszła obudzić Rosie.

Kończyły właśnie śniadanie, kiedy wszedł Rinus.

- Życzę miłego dnia - powiedział od drzwi. - Julius wyszedł z Basilem na spacer, ale zaraz wróci. Czy jesteś już gotowa?

- Tak, jestem już gotowa - odpowiedziała i pocałowała cherubinka w oba pucołowate policzki. - Mam nadzieję, że tata przygotował dla ciebie jakąś niespodziankę.

- Mamy w planach St James's Park i karmienie kaczek.

Kiedy znalazła się w holu z torbą podróżną w dłoni, pan Van der Beek rozmawiał przez telefon.

- Za chwilę ruszamy - rzucił w jej stronę, po czym podjął przerwana rozmowę.

Chwila przeciągnęła się do kwadransa, niemniej w końcu, żegnani przez Dobbsa, wsiedli do samochodu. Na tylne siedzenie wskoczył Basil. Minęli bramę wjazdową i skręcili w lewo. Cicha, wąska uliczka, przy której mieszkał pan Van der Beek, łączyła się z szerszą i bardziej ruchliwą ulicą, a ta z kolei z jedną z głównych arterii Londynu. Po godzinie przebili się przez miasto i znaleźli na autostradzie A1 2. Dotąd Żadne z nich nie powiedziało ani jednego słowa.

Dopiero w pobliżu Brentwood Patience ośmieliła się zapytać:

- Czy operacja udała się?

- Tak. Niewielkie komplikacje w ciągu dnia, ale znów wszystko wróciło do normy.

- Cieszę się. A równocześnie martwię, że przez dwie ostatnie noce prawie pan nie spał.

Uśmiechnął się, ale nie zauważyła tego uśmiechu.

- Ależ spałem, Patience, i to dostatecznie długo, żebyś nie musiała obawiać się, że zasnę przy kierownicy.

Poczuła się niemile dotknięta.

- Nie o tym myślałam. Po prostu pracuje pan zbyt ciężko. Powiedziałam już panu, że nie da się służyć dwóm bogom naraz, a pan właśnie to robi czy też próbuje robić. Kiedy przepisywałam pana książkę, wyobrażałam sobie, że przyjmuje pan pacjentów

- Oczywiście, że nie, Patience. Twoje ciotki są osobami starej daty, a osoby starej daty nie przysparzają kłopotów.

Po lunchu Patience wybrała się do wioski. Porównanie segmenciku ze wspaniałą willą w Chiswick podziało na nią przygnębiająco. Wzięła paszport i trochę osobistych rzeczy, po czym z ulgą zamknęła za sobą drzwi. Wołała nie myśleć o powrocie tutaj, chciała cieszyć się terażniejszością. A terażniejszość niosła obietnicę, że już za kilka godzin będzie siedziała obok Juliusa i jechała w stronę Londynu, a potem dalej - do Holandii.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W czasie jej pobytu w wiosce ciotki ucięły sobie smaczną drzemkę, lecz już wstały i powitały Patience pogodnym uśmiechem.

Powiedziała im, że spotkała panią Dodge.

- Bardzo tęskni za wami. Odkąd owdowiała, czuje się strasznie samotna. Rozgląda się za posadą gospodyni.

Rozmawiały przez jakiś czas o pani Dodge, a następnie przerzuciły się na miejscowe ploteczki. Miłą tę pogawędkę przerwało przybycie pana Van der Beeka.

Obiecał wrócić na szóstą i niemal co do minuty dotrzymał słowa. Usiadł pomiędzy starszymi paniami, które w przypływie szczerości i w dowód sympatii zaczęły opowiadać mu o najwspanialszych okresach swojego życia.

Patience poszła pożegnać się z panną Murch, kiedy zaś wróciła do salonu, on wciąż siedział i uprzejmie słuchał, chociaż, była tego pewna, nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o wyjeździe.

Ciotki na chwilę przerwały swoje monologi dla złapania oddechu i była to doskonała okazja, aby zacząć się żegnać. Zanim jednak Patience, Basil i pan Van der Beek znaleźli się w samochodzie, minął kwadrans z okładem na przeróżnego typu troskliwe przypomnienia i serdeczności.

- Jak starsze panie przyjęły wiadomość? - zapytał pan Van der Beek po kilku minutach jazdy.

- Nie jestem pewna, czy wszystko dokładnie zrozumiały, ale są szczęśliwe, że odwiedzą Holandię.

A jeszcze bardziej z tego powodu, że ich pobyt w domostwie przedłużył się o trzy tygodnie.

- To dobrze.

Nic więcej nie powiedział, ale cisza, jaka zapadła między nimi, zaliczała się do tych, które łączą, a nie dziela.

Prowadził wóz z maksymalną dozwoloną szybkością i Patience pomyślała, że śpieszy się, by jeszcze dzisiaj wpaść do szpitala.

- Chce pan sprawdzić, czy zoperowany wczoraj pacjent dobrze się czuje, prawda? - zapytała, gdy dotarli do przedmieść Londynu. - Od razu więc tam pojedźmy. Do Chiswick dostanę się autobusem. Takie rozwiązanie zaoszczędzi panu sporo czasu.

- Czytasz w moich myślach, Patience. Ale autobus nie będzie konieczny. Wpadnę do szpitala tylko na chwilę.

Szpital znajdował się w centrum miasta. Zostawili samochód na parkingu dla personelu medycznego. Basil przeskoczył z tylnego siedzenia na miejsce kierowcy, oni zaś weszli do budynku.

Patience chciała zaczekać w głównym holu, ale okazało się, że tutaj gospodarzem jest pan Van der Beek i jego wola się liczy. Zaprowadził ją do windy, którą pojechali na trzecie piętro, pługi korytarz, którym następnie poszli, zdawał się nie mieć końca. Skręcili w lewo i zaraz znowu w lewo. Korytarze i boczne przejścia przypominały labirynt. Wreszcie pan Van der Beek pchnął wahadłowe przeszklone drzwi z napisem „kardiochirurgia” i znaleźli się w gronie lekarzy i pielęgniarek, którym Patience została krótko przedstawiona. Zanim jednak zdołała uważnie przyjrzeć się twarzom, doktor Van der Beek przekazał ją pod opiekę jednej z sióstr, po czym zabierając ze sobą wszystkich współpracowników udał się na oddział.

- Niedługo wrócą - zapewniła Patience młoda pielęgniarka.

Zapewnienie to, jak się okazało, wypłynęło z nadmiernego optymizmu. Dopiero bowiem po trzech kwadransach drzwi otworzyły się i w towarzystwie asystentów i pielęgniarek wszedł doktor Van der Beek. Był teraz w białym kitlu, a na jego twarzy na widok Patience ukazało się jakby zaskoczenie. Całkiem możliwe, że w nawale przeróżnych zawodowych spraw zapomniał o jej istnieniu.

Poczuła się natrętem w tym gronie ludzi, zajętych w tej chwili cierpieniami innych.

- Zaczekam na zewnątrz.

Wstała i podziękowawszy uśmiechem najmłodszemu z lekarzy, który otworzył przed nią drzwi, wyszła na korytarz.

Niestety, nie było tu ani jednego krzesła. Podeszła więc do okna i zapatrzyła się w tonące w wieczornym zmroku, a równocześnie rozbłyskujące światłami reklam miasto. Poczuła głód. Miała nadzieję, że Dobbs czeka na nich z obiadem i wręcz smakowała w wyobraźni zupę pieczarkową, na którą miała szczególną ochotę. Właśnie przypominała sobie smak puddingu i truskawek ze śmietaną, kiedy stanął przy niej doktor Van der Beek. Zresztą, pomyślała, nawet gdyby kazał jej tutaj spędzić całą noc, czekałaby cierpliwie i bez jednej skargi, ponieważ kochała go.

Basil powitał ich radosnym szczekaniem, przeniósł się z powrotem na tylne siedzenie i natychmiast zapadł w drzemkę.

O tej porze ulice nie były już tak zatłoczone, jak w godzinach szczytu i dotarcie do domu zajęło im tylko pół godziny. W drzwiach czekał już na nich Dobbs, by poinformować na wstępie, że państwo ter Katte jedzą właśnie obiad. Dorzucił też zaraz pytanie, kiedy oni życzą sobie zasiać do stołu.

- Za dziesięć, piętnaście minut - odpowiedział pan Van der Beek. - Musimy przede wszystkim odświeżyć się po podróży.

Gdy po kwadransie Patience zeszła do salonu, zastała tam tylko Marijke.

- Cześć - powitała ją radośnie matka Rosie. - Julius wpadł tu na chwilę, ale zaraz gdzieś sobie poszedł. Jak się udała wizyta na wsi? Rinus z nianią wyjeżdżają pojutrze. Zaraz przygotuję ci drinka. Może sherry? Siadaj, proszę.

Patience słuchała Marijke, sączyła alkohol, lecz przede wszystkim cieszyła się na myśl, że już wkrótce ze swym ukochanym wjedzie na prom, przepłynie kanał La Manche i znajdzie się w mieście, które ze względu na niego już z góry bardzo polubiła.

Dobrym humorem tryskał tego wieczoru również pan Van der Beek, czemu dał wyraz przy obiedzie, syjąc dowcipami, opowiadając anegdoty i poruszając ciekawe tematy z dziedziny polityki, opery i malarstwa.

Dobre jedzenie oraz wina, które piła do kurczaka i puddingu, zaróżowiły policzki Patience. Jej oczy błyszczały wewnętrzną radością, a usta stały się czerwone i zmysłowe. W rezultacie twarz Patience odmieniła się. Stała się prawie ładna czy też raczej zupełnie ładna. Nie mogło to umknąć uwadze pana Van der Beeka. Po raz kolejny zadał sobie pytanie, gdzie podziała się ta myszka, którą na początku znajomości w niej dostrzegał?

Resztę wieczoru spędzili w salonie, dyskutując o planach na najbliższą przyszłość.

- Kiedy wyjeżdżamy? - zapytała brata Marijke.

- Za dwa, trzy dni. Jutro wieczorem będę wiedział dokładnie. Czy w Hadze oczekują Rinusa?

W tym momencie Patience wstała i pożegnała się. Nie chciała krępować swoją osobą rodziny, której

członkowie na pewno mieli jeszcze dużo sobie do powiedzenia.

Przygotowując się do snu, Patience zastanawiała się, czy tam, w Holandii, często będzie widywała pana Van der Beeka. Jak długie będą ich spotkania? Kochał siostrę, więc z pewnością od czasu do czasu ją odwiedzi. A może choć raz zdarzy mu się zostać na dłużej? Z ufnością w sercu zasnęła.

Następny dzień spędziła na pakowaniu. Rosie wzięli pod swoją opiekę rodzice, więc mogła tylko na tym się skupić. Najpierw zajęła się ubrankami dziecka, potem zaś sukienkami i najróżniejszymi kreacjami Marijke. Rzeczy córki zmieściły się w jednej walizce, a rzeczy matki wypełniły aż cztery duże walizy. Po prostu Marijke ter Katte podczas pobytu w Londynie często wybierała się na zakupy i rzadko kiedy wracała do domu z pustymi rękami. Przy walizach Marijke, pomyślała Patience, jej niewielka i chuda walizeczka będzie wyglądała jak szary wróbelek w stadzie dumnych pawi.

Pan Van der Beek wrócił dopiero przed obiadem.

- Wyjeżdżamy pojutrze - powiedział. - Prom mamy o dziesiątej rano.

Następny dzień znów spędził poza domem. Patience tymczasem czyniła ostatnie przygotowania do podróży, zaś wczesnym popołudniem wybrała się z Rosie na dłuższy spacer. Dziecko wiedziało już, że wraca do swojego domu w Holandii i było tego dnia wyjątkowo podekscytowane. Wyruszyli w najlepszych nastrojach. Jediną chmurą na jasnym horyzoncie było smutne spojrzenie, jakim pożegnał ich Basil. Hałas portowego Dover obudził Rosie, która dotąd spała z główką na kolanach Patience. Dziecko rozpłakało się i Patience musiała ją utulać. Ale nawet wjazd na prom, a potem widok morza nie wpłynęły na Rosie uspokajająco. Przestała płakać dopiero w kabinie. Była zmęczona

płaczem i zaczęła trzeć oczy piąstkami. Patience rozebrała ją i położyła do łóżka. Wiedziała już, że swoją pierwszą przeprawę przez kanał La Manche na kontynent spędzi mimo pogodnego dnia pod pokładem.

Myliła się. Zjawił się pan Van der Beek z propozycją, że zastąpi ją przez pół godziny przy Rosie, ona zaś tymczasem niech idzie odetchnąć świeżym powietrzem. A zatem nie zapomniał o niej. Spacerując po pokładzie i patrząc na morze i niebo, przez cały czas myślała o jego życzliwej wielkoduszności.

Belgia powitała ich zachmurzonym niebem, ale nie padało. Odległość z Ostendy do Hagi pokonali w przeciagu trzech godzin. Miasto bardzo przypadło do gustu Patience, zaś Marijke obiecała oprowadzić ją po nim jutro przed południem.

Kiedy zajechali przed dom państwa ter Katte, wyszła im na spotkanie starsza kobieta, w typie bardzo podobna do panny Muren, którą pan Van der Beek przedstawił Patience jako Juffrouw Witte, gospodynię. Zaraz też pojawił się Rinus, a kiedy powitania dobiegły końca, zaprowadzono Patience na górę i pokazano jej pokój dziecinny i sąsiadujący z nim przez ścianę jej własny. Oba pokoje były duże, widne i pięknie umeblowane.

Zrobiła się już późna pora, więc Patience musiała przede wszystkim zająć się Rosie. Wykąpała ją, położyła do łóżeczka i zaczęła śpiewać jej kołysankę. Nie dokończyła jeszcze pierwszej strofki, kiedy zmęczone podróżą dziecko zasnęło.

Zanim zeszła na dół, uczesała włosy i zrobiła delikatny makijaż. Za ten pracowicie spędzony dzień oczekiwała tylko jednej nagrody: obcowania przez godzinę lub dwie z panem Van der Beekiem.

Jednak w salonie nie było go.

- Julius pojechał już do swojego domu - wyjaśniła

Marijke podając jej sherry. - Jutro rano ma być w szpitalu w Amsterdamie. Poza tym ma tu tylu przyjaciół, iż obawiam się, że ten krótki okres, na jaki przyjechał, zaliczy sobie do bardziej pracowitych.

A zatem ona, Patience, spędzi ten wieczór bez niego, prawdopodobnie też wszystkie następne w tym domu, w tym mieście, w tym kraju. Podjęła decyzję o przyjeździe tutaj z nadzieją, że w ten sposób da sobie szansę na widywanie go. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że myślała bardzo naiwnie, w kategoriach pobożnych życzeń.

- Mam nadzieję - powiedziała z formalną grzecznością - że spotkania z przyjaciółmi sprawią panu doktorowi dużo przyjemności.

- Kocha swój dom, którym opiekuje się godne zaufania małżeństwo. Sądzę, że czasami nawiedza go myśl i ochota, aby zamieszkać w nim na stałe. Kiedy ożeni się, zrobi to na pewno.

Czy mówiąc tak Marijke rozważała tylko pewną teoretyczną możliwość, czy też pan Van der Beek rzeczywiście planował małżeństwo? Patience wiele by dała za konkretną odpowiedź na to pytanie. Marijke dotrzymała słowa. Weszła na drugi dzień rano do pokoju dziecięcego, gdzie Patience karmiła właśnie jej córeczkę, i już od drzwi powiedziała:

Jest piękna pogoda. Juffrouw Witte zaopiekuje się teraz Rosie, my zaś wyruszamy na miasto. Domus, nasz ogrodnik, obwiezie nas samochodem, a ja zabawię się w przewodnika. Oby nie okazało się tylko, że przewodnik ten nie zna miasta.

Patience uśmiechem dała do zrozumienia, że Marijke będzie w niej miała ufną i ciekawą wszystkiego turystkę.

Domus zajechał przed dom białym volkswagenem passatem, a kiedy znalazły się na tylnym siedzeniu, ruszył niespiesznie w kierunku nadmorskiego bulwaru.

Marijke wymieniała nazwy hoteli, ulic i placów, zwracała uwagę Patience na co ciekawsze sklepy i opatrywała krótkim historycznym komentarzem jakiś pomnik czy starą budowlę.

Dojechali nad morze. Skupisko łodzi rybackich w zatoce, młodzi chłopcy grający w piłkę na plaży czy też kucyk ciągnący dwukółkę z dziećmi po molo - z tych scen i widoków dawni holenderscy malarze potrafiliby zapewne stworzyć nieśmiertelne obrazy. Ale przy końcu dwudziestego wieku wszystko było zarżone pośpiechem, one też w gruncie rzeczy śpieszyły się i cały urok nadmorskiej promenady został po pięciu minutach daleko za nimi.

Powrócili do centrum. Mieściły się tutaj banki, muzea, kina, teatry i lokale rozrywkowe. Stary przepiękny ratusz przypominał czasy, kiedy Holandia była potęgą kolonialną i handlową. Marijke wskazała palcem trzypiętrowy budynek, gdzie mieściły się sądy i gdzie pracował Rinus. Okazało się, że było stąd już niedaleko do domu i dzięki temu Rinus mógł wpadać codziennie na lunch, zrobiony przez Juffrouw Witte, zamiast korzystać z baru czy stołówki.

Krótką, lecz pełną wrażeń przejażdżka po mieście dobiegła końca i Patience wróciła do Rosie. W tym nowym, obcym, a jednak już troszeczkę znanym mieście powróciła do obowiązków, które zaczęła wykonywać w Chiswick i które tak polubiła.

Minęły trzy dni, jakże podobne do tych w Londynie. Patience czasami wręcz zapominała, że znajduje się w Holandii.

Miała niewiele czasu dla siebie, ale była to sprawa całkiem drugorzędna. Uwielbiała Rosie i opiekowanie się nią sprawiało jej przyjemność. W wolnych chwilach wybierała się na miasto i chodziła po sklepach. Kupowała tylko rzeczy najpotrzebniejsze, jednak już

samo oglądanie barwnych, bogatych wystaw stanowiło przyjemną rozrywkę.

Każdy dzień rozpoczynała od spaceru z dzieckiem i dzisiaj miało być podobnie. Schodziła właśnie po schodach z Rosie na rękę, kiedy nagle drzwi salonu otworzyły się i wyszła z nich Marijke w towarzystwie brata.

- Jest Julius. Przyjechał zabrać was na wycieczkę. Miła niespodzianka, prawda?

Rosie wyrwała się z ramion Patience i podbiegła do wujka z okrzykiem radości. Patience miała nadzieję, że jej radość nie jest aż tak widoczna.

- Dzień dobry, panie doktorze - powiedziała opanowanym głosem.

Pan Van der Beek podrzucał siostrzenicę w górę, a ona aż piszczała z uciechy.

- Dzień dobry, Patience. Czy nie będzie lepiej, jeśli przejdziemy na ty? Ostatecznie nie jestem już twoim pracodawcą.

Powiedział to tonem tak niedbałym, jak gdyby pomysł ten dopiero teraz przyszedł mu do głowy.

Zaczerwieniła się jak wiśnia.

- Ależ oczywiście. Miło to z twojej strony...

- Tak już lepiej brzmi. Jedziemy?

Patience usiadła z Rosie na tylnym siedzeniu. Było to naturalne ze względu na dziecko, lecz swoją drogą cieszyła się, że tym samym jak gdyby zwolniona została z prowadzenia rozmowy z Juliusem. Nie wiedziała, kiedy przywyknie do nowej formy zwracania się do niego po imieniu i czy w ogóle przywyknie.

Minęli miasto i wjechali na autostradę. Niebawem jednak zjechali na drogę lokalną, która biegła wśród płaskich pól poprzecinanych kanałami. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, pały się w mniejszych lub większych stadach mleczne, rasowe krowy, tu i ówdzie obracały się skrzydła wiatraków, zaś na horyzoncie kłuł niebo

ostrzy szpikulec wieży kościelnej. Widok, dosłownie, jak z folderu reklamującego holenderski krajobraz, pomyślała Patience. Nagle zaczęły pojawiać się drzewa, potem całe skupiska drzew, wreszcie zagajniki i większe zalesienia. W prześwitach między drzewami przeblyskiwała woda.

- Jeziora - powiedział Julius przez ramię. - Są połączone systemem kanałów ze starym Renem.

Patience skupiła się, by przypomnieć sobie mapę Holandii, którą studiowała przed opuszczeniem Londynu.

- Pomiędzy Aalsmeer a Alphen-aan-der-Rijn? - zaryzykowała podanie współrzędnych.

- Dokładnie tak.

Droga, coraz bardziej piaszczysta, wiodła teraz brzegiem jeziora. Nagle po obu jej stronach pojawiły się białe domki kryte czerwoną dachówką. Wjechali na niewielki rynek, gdzie stał kościółek i pawilon sklepowy.

- Rijnsten - poinformował Julius.

Przejechali wioskę i skręcili w prawo w kierunku kępy drzew. Drzewa, okazało się, zasłaniały wysoki ceglany mur. Dwuskrzydłowa brama z kutego żelaza była otwarta. Wjechali przez nią i obrzeżoną gęstymi krzakami alejką dotarli przed drzwi frontowe dużego domu o białych ścianach i długich szeregach okien.

- Czyj to dom? - zapytała Patience, podziwiając przez szybę samochodu masywną bryłę budynku.

- Mój. I będzie moim do końca mojego życia, a potem przejdzie na własność mojego syna, i syna mojego syna. To jest nasz dom rodzinny.

Julius wysiadł z samochodu i otworzył tylne prawe drzwi. Wziął Rosie na jedno ramię, drugą zaś rękę podał Patience. Jego dłoń była duża i mocna. Zamknęła się na dłoni Patience niczym potrzask. I faktycznie było w tym coś z uwieżenia w potrzasku,

gdyż oboje znieruchomieli i tylko patrzyli na siebie. Zauważyła, że wzrok Juliusa staje się coraz to bardziej przenikliwy, wręcz niesamowity w swoim duchowym wyrazie. W końcu zaniepokoiło to ją.

- Czy stało się coś złego? - zapytała.

- Wprost przeciwnie, wszystko jest w jak najlepszym porządku. Wejdźmy do środka.

Kiedy wstępowali po schodach, w drzwiach pojawił się... Dobbs! Patience aż otworzyła usta ze zdumienia.

- To jest Dobbs - śmiejąc się powiedział Julius.

- A raczej brat Dobbsa. Szczegóły wyjaśnię ci później. Dobbs, to jest panna Martin. Moją siostrzenicę już znasz.

Dobbs rozpromienił twarz w szerokim uśmiechu i zabrał Rosie z rąk wujka.

- Znamy się bardzo dobrze. Widzę, że nasza okruszynka podrosła i wypiękniała w Londynie.

- W takim razie pokaż ją pani Dobbs. A potem przynieś nam kawę do salonu.

Przemierzyli rozległy hol i przez dwuskrzydłowe mahoniowe drzwi weszli do dużego pokoju z wysokim oknem werandowym, wychodzącym na ogród. Okno było otwarte i prawie w tej samej chwili wpadły przez nie do salonu dwa dogi, każdy o rozmiarach cielaka. Ich sierść lśniła, zaś z otwartych pysków zwisały purpurowe jęzory, kontrastujące kolorem z białymi kłami.

- Josh i Lulabelle, matka i syn - przedstawił Julius obie bestie. - Możesz je pogłaskać.

Patience, mimo że z pewnymi oporami, zrobiła to, a one otarły się delikatnie o jej nogi. Ich żółte ślepia patrzyły przyjaźnie.

- Na pierwszy rzut oka wyglądają bardzo groźnie.

- Są groźne. Ale swojego nie skaleczą. Raczej zginają w twojej obronie. Nie musisz się ich obawiać, Patience.

- I w ogóle nie przypominają Basila...

Roześmiał się.

- Nie, ale kiedy zostanie tu przywieziony, zaakceptują go. Tak jak zaakceptowały Kłębuszka.

Wskazał na burego pęgowanego kota, śpiącego w zabawnej pozie na fotelu.

- Dlaczego nazywa się Kłębuszek?

- Bo kiedy przyplątał się do nas, był małym kociaczkim i przypominał kłębek wełny. Siadaj, proszę. Kawa będzie za minutkę.

Usiedli w fotelach przy niskim stoliku. Patience rozejrzała się po pokoju. Był piękny. Oprawione w skórę książki zajmowały półki dwóch oszklonych szaf bibliotecznych. W licznych wazonach stały różnokolorowe, świeże kwiaty. Fotele i sofy obite były brokatem w różnych odcieniach czerwieni, a na oklejonych jedwabistą tapetą ścianach wisiały obrazy w ciężkich złoczonych ramach. Kto wie, ile z nich było pędzla starych holenderskich mistrzów?

Kiedy Patience błędziła wzrokiem po meblach, kwiatach i ścianach, Julius z uwagą przyglądał się jej twarzy.

- I cóż?

- Jestem oczarowana. Sądziłam do tej pory, że twój dom w Chiswick stanowi szczyt komfortu i dobrego smaku, ale teraz wiem, co miałeś na myśli mówiąc o tym domu jako o gnieździe rodzinnym.

- Na chwilę zamyśliła się. - Wspomniałeś, że Basil zostanie tu sprowadzony. Czy w takim razie zamierzasz osiąść tutaj na stałe?

Zanim odpowiedział, poczekał, aż Dobbs, który wszedł z tacą, rozleje kawę.

- Tak właśnie zamierzam. Zamiast mieszkać w Chiswick i tutaj tylko wpadać na dwa miesiące w roku, mam zamiar mieszkać tutaj, a Chiswick odwiedzać tylko w miarę potrzeby. Londyński dom pozostanie

pod opieką Dobbsa i panny Murch. Ani myślę pozbywać się go.

Chciała zapytać, dlaczego zamiast Londynu wybrał w końcu Rijnsten, ale właściwie było to zbyteczne. Domyślała się. Z pewnością chodziło o małżeństwo i założenie rodziny. Przecież wspomniał o synu jako dziedzicu, który przejmie po ojcu ten wspaniały dom. Nigdy nie łudziła się, że Julius mógłby ją pokochać, a jednak myśl o tym, że nosi się z zamiarem poślubienia innej kobiety, napełniła ją smutkiem i goryczą. Kimkolwiek zresztą była ta kobieta, musiała być bardzo ładna, musiała dorównywać swoją urodą jego męskiej urodzie. Tylko bowiem piękna żona mogła być godną tego domu gospodynią.

- Czy masz w Holandii wielu pacjentów?

- Stale współpracuję ze szpitalami w Hadze, Amsterdamie, Rotterdamie. Operowałem też wielokrotnie w Utrechcie i Groningen. - Dolał sobie kawy. - Czy chciałabyś obejrzeć dom? Państwo Dobbs będą teraz zajmować się Rosie, a potem zjemy lunch. Do Hagi odwiezę was tuż przed wieczorem.

A zatem cały niemal dzień należał do niej. Co najważniejsze jednak, miała go spędzić w towarzystwie Juliusa. Przyszłość nie liczyła się, przeszłość zawsze będzie można przywołać we wspomnieniu. Patience chciała się cieszyć chwilą obecną.

Przeszli do jadalni, gdzie ciemny orzech mebli dostojnie harmonizował z karmazynem tapet i gdzie nad prostokątnym stołem mienił się kryształowy żyrandol. Obok był mały salonik, wymarzony wręcz do tego, by słuchając radia robić tu na drutach, szyć lub cerować. Za ścianą znajdowała się biblioteka, przy której tamte dwie biblioteczne szafy w salonie wydawały się jedynie zapowiedzią tych tysięcy książek, które tutaj zajmowały wszystkie ściany od podłogi po bardzo wysoki sufit. Z biblioteki drzwi prowadziły do

gabinetu, gdzie przede wszystkim rzucało się w oczy ogromne biurko, zavalone papierami i książkami. Pokój bilardowy i kuchnia, do której tylko zajrzeli, zakończyły przegląd parteru.

Z holu na górę prowadziły dębowe schody, lecz Julius chciał przede wszystkim pokazać jej ogród. Znaleźli się wśród róż, bzów, jaśminu, wiotkiego kosmosu i obsypanej już kwiatem ślazówki, w morzu barw i zapachów. Nagle na ścieżce za nimi dały się słyszeć szybkie kroki. Patience odwróciła się i zobaczyła dziewczynę, nie, kobietę, której niezwykła uroda zdawała się wymagać właśnie takiego tła i oprawy, jak ten kwitnący ogród.

Kobieta dobiegła do Juliusa i całkowicie ignorując Patience zarzuciła mu rękę na szyję. Patience mogła jedynie zgadywać, co za chwilę zostanie powiedziane, już teraz jednak było oczywiste, że Julius i ta kobieta znają się bardzo dobrze.

Pan Van der Beek stanowczym, choć delikatnym gestem uwolnił się z opasujących go ramion i z niezgłębionym wyrazem twarzy przystąpił do prezentacji.

- Patience, poznaj panią Van Teule. Sylvio, to jest Patience Martin. Co za miła niespodzianka. Jak mnie tu odnalazłaś?

- To ja raczej powinnam zapytać, dlaczego nie uprzedziłeś mnie o swoim przyjeździe - powiedziała Sylvia Van Teule, podając od niechcenia Patience rękę. - Ale skoro już spotkaliśmy się, to zapraszam cię dziś wieczór do siebie na obiad.

- Przyjechałem tu tylko na kilka godzin, które zresztą mam już zajęte. Obawiam się więc, że nie będę mógł przyjąć twojego zaproszenia.

Sylvia Van Teule spojrzała na Patience.

- W takim razie co ona tu robi?

Z błękitnych oczu Juliusa powiało lodowatym

chłodem, lecz mimo to odpowiadając utrzymał się w granicach grzeczności.

- Niania Rosie zachorowała, a Patience uprzejmie zaofiarowała się zastępować ją do czasu jej wyzdrowienia.

- Nie bardzo rozumiem?

- Na pewno pomoże pani w zrozumieniu tego prostego faktu - odezwała się Patience - jeżeli powiem, że jestem tymczasową nianią Rosie.

Dźwięk, jaki wyrwał się z ust Juliusa, mógł być stłumionym śmiechem, lecz równie dobrze zwykłym chrząknięciem.

- Rosie o tej porze je obiad. Musimy wracać.

- Zostanę w takim razie na lunchu - powiedziała pani Van Teule z czarującym uśmiechem. - ' Nie możesz przecież siedzieć sam przy stole.

- Będzie nam bardzo miło, ale muszę uprzedzić cię, że nie będę jadł lunchu sam, tylko w towarzystwie Rosie i Patience.

- To Rosie nie jada z niańką?

- Nie - zaprzeczył głosem spokojnym jak dymiący wulkan - siada do posiłków z całą rodziną. Dzisiaj będzie siedziała pomiędzy mną a Patience. Będziemy też wspólnie ją karmić.

- Marijke zawsze starała się wszystko unowocześnić - powiedziała Sylvia Van Teule. - Moim zdaniem, dziecko powinno przebywać w swoim pokoju do momentu, aż opanuje umiejętność posługiwania się łyżką, nożem i widelcem.

Pan Van der Beek nie podjął dyskusji na ten temat, tylko zaprowadził obie panie do salonu, gdzie poczęstował je sherry i przez jakiś czas zabawił rozmową. Wreszcie zjawił się Dobbs z wiadomością, że lunch został już podany, a Rosie siedzi w swoim wysokim krzeselku pod baczynym okiem pani Dobbs.

- Już idziemy. Bądź tymczasem tak dobry i nakryj na jeszcze jedną osobę. Pani Van Teule będzie jadła z nami.

Gdy przeszli do jadalni, przy krzeselku Rosie stała młoda dziewczyna w jasnej sukience i białym fartuchu. Okazało się jednak, że nie jest to pani Dobbs, tylko jedna z jej pomocnic. Miała na imię Ans. Przywitała się z Patience z uprzejmością, która chwyciła za serce. Zaraz też wróciła do swoich zajęć w kuchni.

Patience zajęła się Rosie, co oznaczało, że w pierwszym rzędzie trzeba było wysłuchać jej ożywionej dziecięcej paplaniny w języku holenderskim. Nie rozumiejąc ani jednego słowa, a tylko domyślając się ogólnego sensu, Patience kiwała ze zrozumieniem głową. W tym samym czasie Julius i Sylvia Van Teule, którzy siedzieli po przeciwnej stronie stołu, prowadzili rozmowę, w której więcej było przeskakiwania z tematu na temat niż konkretnej treści.

Lunch, pomyślała Patience, ostrożnie niosąc łyżkę zupy do otwartych usteczek Rosie, na pewno już nie upłynie w tej spokojnej, miłej i prawie intymnej atmosferze, jak to zapowiadało się jeszcze godzinę temu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przede wszystkim Sylvia Van Teule całkowicie ignorowała Rosie. Obojętnie odnosiła się również do psów, które zresztą odpłacały się jej tym samym. A nawet dały do zrozumienia, że wolą towarzystwo Patience, gdyż położyły się na dywanie po tej stronie stołu, gdzie siedziała, i od czasu do czasu spoglądały na nią swymi żółtymi ślepiami.

Podczas jedzenia Patience rzadko zabierała głos. Skupiona była prawie wyłącznie na dziecku, które paplało sobie radośnie, trochę do siebie, trochę do dorosłych.

- Czy ona nigdy nie przestaje mówić? - zapytała Sylvia Van Teule, nie mogąc ukryć irytacji.

- Widzi pani - odpowiedziała Patience - Rosie dopiero odkrywa, jaką przyjemnością może być mówienie. Po prostu cieszy ją samo kształtowanie dźwięków.

Pani Van Teule wzruszyła ramionami.

- Przypuszczam, że jeśli zarabia pani na życie opiekując się dziećmi, to musi pani je lubić.

- Jest w tym niewątpliwie jakaś część prawdy. Podobnie gdyby pani miała dzieci, to też musiałyby pani je lubić. O ile w ogóle - dodała z czarującym uśmiechem - widywałyby je pani przez pierwsze, powiedzmy, trzy lata ich życia.

Patience zauważyła, że Julius opadł na oparcie krzesła i nieznacznie uśmiechnął się. Nagle wstał, pochylił się nad stołem i przeniósł Rosie z krzesła na swoje kolana. Zaraz też poczęstował ją cukierkiem, który wziął ze srebrnego półmiska.

Pani Van Teule wydała z siebie coś w rodzaju niecierpliwego prychnięcia. Na pewno nie była sympatyczną osobą, ale skoro Julius kochał ją, pomyślała Patience, i ponieważ ona go kochała, to przecież miłość może zdziałać cuda i przemienić nieprzyjemne cechy charakteru w pociągające. Czy było to jednak prawdopodobne w tym akurat przypadku?

Kiedy lunch dobiegł końca, Patience wstała od stołu.

- Rosie o tej porze zazwyczaj idzie spać na godzinę. Czy jest tutaj pokój, gdzie mogłabym ją położyć? Zostanę z nią do chwili przebudzenia.

Powiedziała to niejako wbrew sobie. Nie chciała zostawiać ich samych, ale instykt podpowiadał jej, że nie ma wpływu na bieg wydarzeń.

Julius miał taki wpływ.

- Rosie pójdzie spać trochę później - odezwał się łagodnym głosem. - Zabierzemy ją teraz na teren zabudowań gospodarskich. Mam dla niej niespodziankę. Kucyka. - Następnie zwrócił się do pani Van Teule. - Wybacz nam, Sylvio. Dysponuję tylko tą chwilą wolnego czasu i muszę ją wykorzystać. Dziś jeszcze jadę do Amsterdamu.

Pani Van Teule uśmiechnęła się z rozmarzeniem, któremu towarzyszył jednak cień rozczarowania.

- Och, jaka szkoda, a już miałam nadzieję, że wspólnie spędzimy dzisiejszy wieczór. Kiedy wracasz do Anglii?

- Wszystko będzie zależało od moich pacjentów - odparł ogólnikowo.

Sylvia Van Teule wstała i biorąc Juliusa pod ramię kiwnęła Rosie i Patience na pożegnanie głową. Wówczas wydarzyła się rzecz po prostu straszna: cherubinek pokazał jej język. Na szczęście stało się to w momencie, kiedy spojrzenie pięknych oczu Sylvii, musnąwszy je zaledwie, wracało już do Juliusa. Tego

rodzaju zachowanie wymagało reprimendy bez względu na to, czy zostało, czy też nie zostało zauważone. Patience musiała jednak poczekać z naganą aż do powrotu Juliusa, gdyż po prostu nie znała holenderskiego.

Kiedy odprowadziwszy Sylwię do samochodu Julius pojawił się z powrotem w jadalni, wziął wszystko na siebie. Posadził Rosie na stole i popatrzył na nią z trochę teatralnym ubolewaniem.

- Dziewczynki, które pokazują gościom język, nie zasługują na to, aby się z nimi bawić - powiedział po angielsku, lecz zaraz przeszedł na holenderski.

Cokolwiek jednak powiedział winowajczyni w tym języku, nie mogło to być zbyt surowe, gdyż kiedy skończył, Rosie objęła wujka za szyję i cmoknęła w policzek.

Następnie całą trójką opuścili dom bocznymi drzwiami, przeszli przez ogród i znaleźli się na podwórzu gospodarskim, którego ogrodzona część stanowiła wybieg dla koni. Stanęli przy barierce, a z przeciwnej strony padoku przykłusowały ku nim dwa konie i mały szpakowaty kucyk. Rosie na widok konia liliputka klasnęła w rączki.

Julius spojrzał na Patience.

- Czy umiesz jeździć wierzchem? - zapytał.

- Nie siedziałam na koniu od śmierci rodziców. Miałam kiedyś gniadego pony. Jakie nadałeś im imiona?

- Jess i Cezar. Jess śmiało można zaliczyć do najłagodniejszych stworzeń pod słońcem. Marijke jeździ na niej, kiedy tu się zjawia.

- A Cezar zapewne jest twój?

- Tak. Kucyk nie ma jeszcze imienia, sądzę, że powinna ochrzcić go Rosie. Przywiozłem go tu zaledwie przed dwoma dniami.

- I nie miał do tej pory imienia?
- Nie wiem. Dosłownie wyrwałem go w ostatniej chwili z rzeźni.

- Och, biedactwo. - Spojrzała na Juliusa z gorącym podziękowaniem w oczach. - Ale teraz przynajmniej nic mu już nie zagraża.

Julius wyjął z kieszeni kilka kostek cukru i, ku zaskoczeniu Patience, także marchewkę. Konie obdarowane zostały cukrem, zaś marchewka znalazła się w ręczce Rosie. Ale tylko na chwilę, gdyż zaraz została schrupana przez kuca.

- Jaki on ładniutki - powiedziała Patience, a Rosie powtórzyła jak echo:

- Ładniutki, ładniutki, ładniutki...

- Niech zatem ma na imię Ładniutki - zdecydował Julius. - O, widzę, że idzie Jon z siodłem.

Ładniutki nie stawiał oporu, kiedy był siodłany i kiedy małą amazonkę usadzano w siodle. Następnie Julius z jednej strony, a Patience z drugiej, chwycili go za uzdę i zaczęli oprowadzać po padoku. Za nimi kroczył Jon w towarzystwie obu wierzchowców. Wreszcie po kilku okrażeniach Julius przerwał lekcję hipiki.

- Na dzisiaj dosyć. Siodłaj go, Jon, na godzinę dziennie i pozwól swemu najmłodszemu dziecku pojeździć sobie na nim. W ten sposób przyzwyczai się do chodzenia pod wierzchem.

Ale Rosie nie było dosyć nowej zabawy. Kiedy zrozumiała, że trzeba rozstać się z Ładniutkim, wybuchnęła płaczem.

Patience wzięła ją na ręce.

- Kochanie, Ładniutki musi napić się herbatki i iść do łóżeczka podobnie jak ty. Wkrótce tu wrócisz i wujek Julius pozwoli ci na nim pojeździć.

Okazało się, że Rosie nie miała trudności ze zrozumieniem tych prostych angielskich słów.

- Szkopuł w tym - odezwał się Julius - że jutro z samego rana wyruszam do Anglii.

Patience gwałtownie odwróciła się.

- Jutro rano? Myślałam, że przyjechałeś tu na...
Minęły dopiero cztery dni.

Spojrzał na nią z wysokości swych stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu.

- Cóż, chyba nie sprawia ci różnicy, gdzie będę, tutaj czy tam?

- Oczywiście, że nie. - Umknęła w bok ze spojrzeniem. - Miałeś jeszcze opowiedzieć mi o Dobbsie i jego bracie.

Zaakceptował zmianę tematu z pozorną skwapliwością.

- Więc opowiem. Historia jest prosta. Moja babka była Angielką. To ona zostawiła mi ten dom w Chiswick. Dobbs pracował u niej jako szofer i odziedziczyłem go wraz z domem. Miał brata, który poszukiwał pracy, a że tutaj tymczasem zmarł mój ojciec, a zaraz po nim jego stary służący, zaproponowałem bratu Dobbsa wyjazd do Holandii. Zgodził się i pół roku później ożenił się z moją kucharką. Dodam jeszcze, że bracia, mimo że bardzo do siebie podobni, nie są bliźniakami.

- A co robi tamten Dobbs, jeśli sprowadzisz się tutaj na stałe?

- Prawdopodobnie ożeni się z panną Muren, mimo że jest ona prawie o dziesięć lat starsza od niego. Żyli się ze sobą i darzą się wzajemnie szacunkiem. Ich romans rozkwita już od pewnego czasu. Będą dbać o mój dom, jak o swój własny. Uważam, że i wśród służby domowej można mieć przyjaciół, kto wie, czy nie najwierniejszych.

Jakże powierzchownie go znała. Wiedziała, gdzie mieszka i jaki zawód wykonuje, ale czy sięgała głębiej, do niego jako do osoby; o czym myśli? czego oczekuje

od życia? czy był zakochany? Chyba też nigdy tego się nie dowie. Kiedy przestanie być tutaj potrzebna, wróci do Themelswick i w ten sposób ich drogi rozejdą się na zawsze.

- Wyglądasz na zamyśloną - zauważył Julius, gdy dochodzili do domu.

Cóż mogła mu powiedzieć?

Poszła z Rosie prosto do łazienki, gdzie obmyła jej mokrą od łez twarzyczkę i uczesała włoski. Przy okazji spozjrzała do lustra na swoją twarz. Nie była to twarz ładnej kobiety. A że miała świeżo w pamięci urodę Sylvii Van Teule, wydała się sobie wręcz brzydka. Powinna czym prędzej i raz na zawsze odepchnąć od siebie próżne myśli o doktorze Van der Beeku. Dodatkowym powodem powinno być i to, że przecież był on bardzo bogatym człowiekiem, a ona...

Przed wyjazdem poczęstowani jeszcze zostali przez Dobbsa i jego żonę ciastem z owocami, upieczonym według przepisu panny Murch. Przy okazji Patience dowiedziała się, że Julius miał słabość do wszelakiego rodzaju wypieków.

Wracali w milczeniu. Tylko Rosie od czasu do czasu unosiła z kolan Patience senną główkę i coś tam sobie szczebiotała.

Gdy zajechali na miejsce, Julius nawet nie chciał wejść do salonu. Śpieszył się. Miał tylko tyle czasu, aby wymienić w holu kilka słów z Marijke i Rinusem. Nastąpiła chwila pożegnania i Patience podała mu Rosie. Pocałował siostrzenicę. A potem pochylił się i drugi pocałunek złożył na wargach Patience.

- Spędziłem w waszym towarzystwie przeuroczy dzień - powiedział.

Po sekundzie już go nie było. Wyszedł, nie rzuciwszy ani jednego, słowa pożegnania.

Patience przez dłuższą chwilę stała jak sparaliżowana. Nikt jeszcze tak jej nie pocałował. Nikt, za

wyjątkiem może samego Juliusa. Ale tamten jego pierwszy pocałunek odebrała jako konwencjonalny dowód sympatii i wdzięczności. Tym razem czuła coś jeszcze. Jak gdyby elektryczny impuls, który mógł być duchowym przesłaniem. Tyle że mogła się mylić, wmawiać sobie coś nie istniejącego. Rzecz jasna, że myliła się. Tego rodzaju wyznań nie dokonuje się w holu na oczach całej rodziny.

Poszła z Rosie na górę, gdzie dała jej kolację i ułożyła do snu. Dziewczynka domagała się piosenki, więc Patience drżącym głosem zaśpiewała jej starą szkocką balladę. W głębi duszy płakała.

- Jaka szkoda - powiedziała Marijke przy obiedzie - że Julius wraca jutro do Anglii. Pierwotnie zamierzał zostać tu jeszcze przez tydzień. Zastanawiam się, skąd ta nagła zmiana w planach. Jak spędziliście dzień? Słyszałam, że Rosie dostała kuca. Czy go polubiła?

- I to bardzo. Rozstawała się z nim z serdecznym płaczem.

- A czy wszystko jadła i zachowywała się grzecznie?

- Jest bardzo dobrym, bardzo kochanym dzieckiem.

- Byliście tam tylko we troje?

- Nie. Wpadła z wizytą pani Van Teule, dobra znajoma Juliusa.

- Sylvia Van Teule. Chce ona, że się tak wyrażę, wbić swoje szpony w mojego brata. Jest wdową, która nerwowo poszukuje drugiego męża. Rosie nie znosi jej. A propos, czy czasami nie zachowała się wobec niej niegrzecznie?

- Nie, skądże.

- Sylvia nie cierpi małych dzieci, choć trzeba przyznać, że jest piękna i zawsze bardzo elegancka.

Patience zgodziła się z tą oceną, równocześnie wiedząc, że wcale by się nie zmartwiła, gdyby Sylvia Van Teule obsypana została krostami lub dostała

zeza. Nie, żeby uważała się za jej rywalkę. Po prostu szczerze nie lubiła tej pani.

Przez następne kilka dni nikt nie wspomniał o Sylvii, a Patience wyrzuciła ją ze swych myśli. Skupiła się bez reszty na Rosie. Coraz bardziej przywiązywała się do dziewczynki, polubiła też jej rodziców.

W sobotę państwo ter Katte z córeczką wybrali się do Utrechtu do rodziców Rinusa. Patience miała w perspektywie cały wolny dzień. Postanowiła wypuścić się na miasto po zakupy. Tym razem nie myślała o ciuszkach dla siebie, tylko o prezentach dla innych osób. Ciotkom kupiła wełniane, lecz delikatne jak jedwab szaliki, pani Dodge model wiatraka wyrzeźbiony w półszlachetnym kamieniu, a pannie Muren flakonik perfum o czystym zapachu górskiej łąki. Mogła teraz pochodzić ulicami miasta dla samej przyjemności. Podziwiała właśnie przez szybę witryny piękną wieczorową suknię, kiedy drzwi sklepu otworzyły się i stanęła w nich Sylvia Van Teule we własnej osobie.

Zobaczywszy Patience, uśmiechnęła się.

- O, miło mi widzieć nianię Rosie. Czy ma pani wolny dzień? - Zobaczyła skromne paczuski w ręku Patience i w oczach jej pojawiło się lekceważenie. - Czyżby wybrała się pani po zakupy? Domyślam się, że są to prezenty dla rodziny i przyjaciół w Anglii. Cóż, w tym mieście każdy może coś znaleźć, nawet jeżeli nie ma dużo pieniędzy. Zapraszam panią na kawę. Właśnie przymierzałam suknię i czuję się zmęczona. Niedaleko jest mały lokalik...

Patience uznała, że odmawiać byłoby niegrzecznie. Przyjęła więc zaproszenie i po chwili siedziały już w eleganckim bistro.

Pani Van Teule zamówiła kawę.

- A może zje pani ciastko? Ja nie miałabym odwagi,

gdyż muszę dbać o linię, ale w pani przypadku to chyba nie ma znaczenia.

Czyżby chciała przez to powiedzieć, że ona, Patience, ma tak fatalną figurę, że nawet dodatkowe dwadzieścia kilo nie mogłoby jej już bardziej oszpecić? Byłoby to o tyle niesprawiedliwe, że czego jak czego, ale swojej figury Patience bynajmniej nie musiała się wstydić.

- Faktycznie, nie potrzebuję przestrzegać diety - odpowiedziała z pogodnym uśmiechem - ale za ciastko dziękuję.

Poprosiła za to o kawę z bitą śmietaną, do której wysypała dwie łyżeczki cukru, podczas gdy jej towarzyszka musiała zadowolić się czarną kawą bez żadnych dodatków.

- Jak pani poznała pana Van der Beeka? - zapytała Sylvia Van Teule. - Czy przez jego siostrę, która zatrudniła panią?

- Było akurat odwrotnie. Najpierw pracowałam u niego.

- Doprawdy? Nigdy mi o pani nie wspominał. Ale kiedy wróci, dowiem się o pani wszystkiego. Julius, to znaczy pan Van der Beek nie lubi długo przebywać z dala ode mnie. Dla nas obojga będzie najlepiej, jeśli osiadzie w Holandii na stałe. Ani myślę przeprowadzać się do Londynu, chociaż, przyznaję, jest tam sporo eleganckich sklepów, wśród których Harrods zajmuje zupełnie wyjątkowe miejsce. Zapewne nie kupowała pani jeszcze u Harrodsa?

- Nie, nie kupowałam. - Patience pragnęła czym prędzej uciec od tej kobiety i rzuciła okiem na zegarek.

- Mój Boże, ależ zrobiło się późno! Obiecałam Juffrouw Witte, że wrócę na lunch. Dziękuję za kawę. Była wspaniała.

- Jasne, praca to praca, nie można się spóźnić - powiedziała Sylvia Van Teule niemalże tonem

pouczenia. - Muszę opowiedzieć o tym naszym spotkaniu Juliusowi.

Patience opuściła lokal, jak gdyby uciekała przed ogniem. Najpierw wzięła kierunek na przystanek tramwajowy, żeby stworzyć wrażenie, jeżeli tamta śledziła ją przez okno, iż faktycznie wraca do domu. Kiedy jednak oddaliła się na dostateczną odległość, skrzyła w boczną uliczkę. Szła szybkim krokiem przez kwadrans, aż znalazła się przed galerią malarstwa. Kupiła bilet i spędziła cudowną godzinę na oglądaniu dzieł Rembrandta, Vermeera van Delft, Halsa, Van Ruysdaela oraz innych holenderskich mistrzów.

Zjawiła się w domu dopiero przed piątą i rzuciła się łapczywie na przygotowane przez Juffrouw Witte kanapki. Podobno zakochani nie odczuwają głodu, ona jednak czuła. Więc może tylko wydawało się jej, że kocha?

Na szczęście niebawem wrócili z Utrechtu państwo ter Katte i trzeba było zająć się Rosie. Gdyby nie ta konieczność skupienia się na dziecku i siłą rzeczy oderwania się od czarnych myśli o Sylvii Van Teule, Patience popadłaby w skrajne przygnębienie.

Kilka dni później, kiedy Patience schodziła po schodach, Marijke, która znajdowała się w holu, powiedziała jej, że chce z nią porozmawiać. Przeszły do salonu.

- Rinus widział się z nianią i oglądał wyniki jej ostatnich badań - zaczęła Marijke, kiedy usiadły na sofie. - Wszystko wskazuje na to, że niania wróci do nas już w piątek. W sobotę, jeśli chcesz, mogłabyś już wyjechać. Rinus weźmie na siebie załatwienie biletów.

- Cieszę się, że niania w pełni odzyskała zdrowie. Rosie na pewno ucieszy się z jej powrotu. Ale czy nie będzie lepiej, jeśli wyjadę w piątek tuż przed powrotem niani? Chciałabym ją poznać, z tym że dla Rosie

będzie chyba lepiej, jeśli po prostu wymienimy się rolami. Chodzi o to, żeby Rosie nie widziała nas obu równocześnie, gdyż może się to wiązać z koniecznością trudnych wyjaśnień. A tak, Rosie, nie widząc mnie, szybko o mnie zapomni.

- Mam nadzieję, że nie czujesz się - Marijke przez chwilę szukała słowa - wyrzucana?

- Oczywiście, że nie. Przecież muszę wracać do moich cioteczek. Tęsknię już za nimi.

Na twarzy Marijke odbiła się wewnętrzna ulga.

- Sprawiałś nam, Patience, swoim pobylem w naszym domu wielką przyjemność. Za wszystkie twoje starania jesteśmy ci bardzo wdzięczni. Myślę też, że twój pomysł z wymianą ról jest bardzo szczęśliwy. Czy będziesz rozglądała się za jakąś nową pracą?

- Nie od razu. Najpierw muszę się zająć przeprowadzką moich cioteczek.

- Zdaje się, że w tej chwili mieszkają one w domu, który wynajmuje Julius?

- Tak, lecz zaraz po powrocie zabieram je na stare miejsce. Natomiast dom po upływie sześciomiesięcznego terminu umowy zostanie wystawiony na sprzedaż.

- No, to powiedziałyśmy sobie, Patience, rzeczy najważniejsze. Nie zatrzymuję cię dłużej. Rosie nie może się zapewne doczekać obiadu. Chciałabym, żeby dziecko już się urodziło i żebym znów mogła zająć się domem i rodziną.

- Myślę, że tym razem oczekujecie syna.

- Rinus, wiem to, myśli o synu, ale zapewniamnie, że będzie szczęśliwy również z córki... Jeśli znajdziesz się znów w Holandii, musisz nas odwiedzić.

Patience przeszła do swego pokoju i zamyśliła się. Jutro musi z samego rana wysłać list do ciotek. Z telefonu wolała nie korzystać ze względu na ich głuchotę i awersję do tego urządzenia. Miała nadzieję, że panna Murch zaczeka ze swoim wyjazdem dzień

lub dwa, aż segmencik zostanie wysprzątny i w ogóle przygotowany na przyjęcie lokatorek. Sięgnęła po torebkę i przeliczyła zaoszczędzone pieniądze. Dysponowała całkiem pokaźną sumą. Z pieniędzy tych musiały się utrzymać aż do chwili sprzedania domu.

Nadszedł piątek. Rinus zdecydował, że Patience wróci samolotem. Wylatywała przed południem. W ten sposób w Themelswick mogła już być w godzinach popołudniowych. Wręczył jej kopertę, w której znalazła bilet lotniczy oraz pieniądze pokrywające koszt podróży taksówką z Heathrow na dworzec kolejowy oraz pociągiem z Londynu do Norwich. Poprosił, aby zaraz po przyjeździe zatelefonowała do nich.

Natomiast Marijke wręczyła jej małą paczuszkę. W środku znajdował się złoty łańcuszek oraz medalionik z kolorowym portrecikiem Rosie. Patience, niemal płacząc ze wzruszenia, objęła i pocałowała Marijke. A potem zaczęło się długie i pełne pieśczoł pożegnanie z cherubinkiem, który na szczęście nie wiedział, o co chodzi, i chichotał w najlepsze.

Na lotnisko zawiózł ją Rinus. Żegnając się z nim wiedziała, że wyrusza w podróż bez powrotu. Na szczęście nie czekała długo na odlot. W samolocie wypła kawę i przeczytała od deski do deski ulotkę reklamującą holenderskie linie lotnicze.

Na taśmie bagażowej w Heathrow jej walizka ukazała się jako jedna z pierwszych. Celnicy przepuścili ją tylko na podstawie ustnej deklaracji. Kiedy znalazła się w zatłoczonej hali dworcowej, pierwszą osobą, którą dostrzegła, był Julius.

Patience nie umiała ukryć radosnego zdziwienia, a on, w odróżnieniu od niej, nie okazał żadnych uczuć, tylko wziął jej walizkę i zaprowadził do oczekującego na parkingu bentleya.

- Chwileczkę - powiedziała, kiedy tylko doszła

trochę do siebie po pierwszej fali radości, jaka zalała ją na jego widok - wracam do mego domu, więc nie ma potrzeby...

- Wsiadaj - odrzekł tonem nie dopuszczającym żadnego sprzeciwu. - Rinus uprzedził mnie, kiedy przylatujesz. Odwiozę cię do Themelswick.

Wsiadła. Nie miała zresztą wyboru. Ale nie zamierzała łatwo się poddawać.

- Oczekują mnie około piątej, więc doprawdy nie ma potrzeby...

Usiadł za kierownicą i uruchomił silnik.

- Już raz to powiedziałaś. Zresztą i tak muszę tam pojechać. Mam do omówienia z panną Murch kilka ważnych spraw. Zapnij pasy.

Zrobiła to czując, że sytuacja wymknęła się jej spod kontroli. Kiedy więc obwodnicą omijali Londyn, siedziała trochę naburmuszona, a nawet zła na jego arbitralne zachowanie, lecz tym, co najintensywniej odczuwała w głębi duszy, było radosne upojenie, że znowu jest przy nim i może patrzeć na jego jasne włosy, szerokie ramiona i wyrazisty męski profil.

Dopiero na autostradzie Julius przerwał już ponad półgodzinne milczenie.

- Zjemy lunch, a potem porozmawiamy.

Zatrzymali się przed pierwszym napotkanym zajazdem. Zamówili pieczeń wołową z ziemniakami i mizerią, a na deser sernik mrożony i kawę. Patience jadła ze smakiem, ale też z pewną niecierpliwością. Oczekiwała, że Julius w końcu przystąpi do tej zapowiedzianej w samochodzie rozmowy. On zaś tymczasem mówił o najróżniejszych sprawach i rzeczach, tylko o niczym takim, co by naprawdę zasługiwało na miano kwestii godnej poruszenia.

Kiedy wrócili do wozu i ruszyli w dalszą drogę, nie wytrzymała.

- Obiecałeś porozmawiać ze mną...

- A czyż przez cały ten czas nie rozmawialiśmy? Zresztą tego, co chcę ci powiedzieć, nie da się przekazać podczas jazdy. Przede wszystkim muszę widzieć twoją twarz... Spojrzała na jego profil. W napięciu patrzył przed siebie. < Nie było sensu drażnić go jakimiś nudnymi pytaniami. Przy szybkości, z jaką jechali, powinni dotrzeć do Themelswick w przeciągu godziny, może półtorej. Siedziała więc cicho, obserwując przesuwane się krajobrazy. Ale widziała je tylko w ogólnych zarysach. Jej myśli, niczym przerażone ptaki, krążyły w popłochu wokół Sylvii Van Teule. Radość ze spotkania z Juliuszem i przebywania z nim tu i teraz zbladła. Czyż nie powiedział, że przyjechał po nią na lotnisko, gdyż jej powrót zbiegł się z jego planami wyjazdu do Themelswick? Zatem jedzie z nim niejako „przy okazji”, jak gdyby autostopem. Komu jak komu, ale Juliusowi, mimo całej jego rezerwy, nie można było zarzucić braku uprzejmości.

Uśmiechnęła się na widok domostwa. Wszystko tu było takie same, jak przed dwoma tygodniami, tylko rabaty kwiatowe mieniły się całą paletą barw i ktoś zadbał o skoszenie trawnika.

Julius wysiadł z samochodu i otworzył drzwi po jej stronie.

- Idź przywitać się z ciotkami, a ja dołączę za chwilę.

W holu natknęła się na pannę Murch.

- Witaj, Patience - powiedziała gospodyni, szczerze uradowana jej przybyciem. - Pięknie wyglądasz. Starsze panie są w salonie. Czy pan Van der Beek został przy samochodzie?

- Tak. Mam nadzieję, że dopisywało pani zdrowie?

- Jak najbardziej, dziękuję. I cieszę się z perspektywy powrotu do Chiswick.

Cóż, przynajmniej jedna osoba otwarcie przyznaje

się do swej radości, pomyślała Patience i otworzyła drzwi salonu.

Ciotki na jej widok wyrzuciły do góry ręce, niemalże w dziękczynnym geście.

- Nasza kochana Patience! - Pierwsza odzyskała mowę ciotka Bessy. - Jakże pięknie wyglądasz! I jakbyś trochę zaokrągliła się... Zawsze uważałam, że Bóg obdarzył cię bardzo ładnymi piersiami... - Spojrzała ponad ramieniem Patience. - O, pan Van der Beek, jakże miło znów pana widzieć.

Patience pochyliła się i pocałowała ciotkę Polly, zadając sobie równocześnie pytanie, czy Julius dosłyszał tę ostatnią uwagę, rzuconą raczej dość przenikliwym głosem. Wolałaby, żeby nie dotarła ona do jego uszu.

- Czy zostanie pan przynajmniej na kilka dni? - zapytała ciotka Bessy. - Byłybyśmy bardzo rade.

Usiadł pomiędzy dwiema starszymi paniami, które na moment zapomniały o nim i wzięły Patience w krzyżowy ogień pytań. Czy chodziła na przyjęcia? Czy w Hadze są dobre teatry? Czy poznała kogoś interesującego?

Patience odpowiadała bardzo ogólnikowo, uważając, aby przed ciotkami nie zdradzić się z faktem, że pracowała w Holandii jako niańka.

Wreszcie ciotka Polly przypomniała sobie o panu Van der Beeku.

- No i jak? Zostaje pan?

- Niestety, nie. Jeszcze tej nocy wyjeżdżam do Holandii.

Patience włożyła wiele wysiłku, aby z trzymanej właśnie w ręku filiżanki nie wylać herbaty.

- Czy na stałe? - zapytała.

- Nie. To tylko krótka wizyta... w sprawach osobistych.

Nagle przestała się liczyć z wszelkimi konsekwencjami.

- Oczywiście, jak mogłam nie domyślić się. Spotkałam tydzień temu na mieście panią Van Teule, poszłyśmy na kawę i ona powiedziała mi, że oczekuje twojego przyjazdu. Przecież nie sposób żyć tak ciągle w udręce rozłąki. Dobrze przynajmniej, że z Londynu do Hagi jest bliżej niż do Sydney i do Pekinu. Szkoda tylko, że pani Van Teule nie lubi naszego stołecznego miasta, ale skoro zamierzasz osiąść w Holandii, to jej stosunek do Londynu staje się tym samym mało istotny.

Patrzył na nią z rozbawieniem w oczach.

- Faktycznie, mało istotny - przyznał wstając z fotela. - Muszę już jechać. - Pożegnawszy się ze starszymi paniami, zwrócił się do Patience: - Odprowadź mnie do drzwi, proszę. - A kiedy wyszli z salonu, powiedział głosem pełnym powagi: - Nie mam czasu rozpraszać teraz tej mgły, w jakiej zdajesz się błądzić. Ale niedługo wrócę.

- Nie ma powodu - odrzekła, omroczona rozpaczą - abyśmy kiedykolwiek więcej mieli się spotykać.

Przez długą chwilę spoglądał na nią w głębokim zamyśleniu, po czym roześmiał się i poszedł do swego samochodu. Nie czekała, aż odjedzie. Zamknęła drzwi, wyrzucając go tym samym na zawsze ze swego życia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Patience wróciła do salonu i naleła ciotkom herbaty.

- Czarujący mężczyzna - oznajmiła ciotka Bessy.
- Jaka szkoda, że nie mógł zostać. Niewątpliwie prowadzi bardzo ruchliwy tryb życia. Czy nie przesyłałam się z tym jego wyjazdem jeszcze dziś w nocy do Holandii? Pewnie chodzi o jakąś ważną i pilną sprawę?

- Bardzo pilną - potwierdziła Patience z nerwowym parsknięciem.

Na twarzach ciotek odbił się niepokój.

- Musisz być bardzo zmęczona, kochanie - powiedziała ciotka Polly. - Masz za sobą długą podróż. Aż nie chce się wierzyć, że jeszcze dziś rano byłaś w Holandii.

Patience odszukała pannę Murch i powiedziała jej, że wybiera się do wioski.

- Czeka nas przeprowadzka i muszę przede wszystkim przewietrzyć nasz dom. Chciałabym też zmienić pościel i zetrzeć kurze.

Panna Murch, która przebierała truskawki, nie chciała nawet o tym słyszeć.

- Zrobisz to jutro, Patience, jeżeli już musisz, a dzisiaj naciesz sobą swoje ciotki, wypocznij, zjedz kolację i wcześniej idź do łóżka. Przygotowałam już pokój dla ciebie, ten sam, w którym spałaś podczas śnieżycy.

Przygnębienie osłabia, więc Patience potulnie podporządkowała się woli panny Murch. Wróciła do ciotek i spędziła z nimi czas do kolacji. Kiedy udały

się na spoczynek, ona też nie zwlekała. Pomogła tylko pannie Muren w zmyciu naczyń i już o dziesiątej zamknęła się w swoim pokoju. Ale sen nie nadchodził. Gryzła się z powodu swojego wybuchu i myślała o tym, w jak straszny sposób się rozstali. Zasnęła dopiero po północy.

Na drugi dzień po śniadaniu szykowała się właśnie do wyjścia, kiedy przed dom zajechał swoim starym samochodem pan Bennett.

- Moja droga Patience, widzę, że gdzieś się wybierasz. Jestem więc zmuszony poprosić cię, żebyś jeszcze przez chwilę została. Przywiozłem dobre wieści.

Wzięła od pana Bennetta jego płaszcz i kapelusz.

- Czy chce pan porozmawiać z moimi ciotkami? Czeka nas dziś przeprowadzka i właśnie w tej sprawie wybieram się do wioski.

- Ależ nie ma najmniejszego pośpiechu, moja droga. Pan Van der Beek wyraził zgodę, że dokąd nie upłynie termin najmu, ty razem z ciotkami możecie mieszkać tutaj.

- Zostało jeszcze parę tygodni...

- Tak, umowa dzierżawna wygasa dopiero w połowie lipca. Ale mam do powiedzenia rzecz dużo ważniejszą. Otóż dom został sprzedany.

Patience poczuła ukłucie w sercu. Wiedziała, że prędzej czy później coś takiego musi nastąpić, lecz teraz miała wrażenie, jakby ktoś zabrał część jej życia.

- Kto jest nowym właścicielem?

- Nazwisko nic ci nie powie. Osoba ta skontaktuje się z tobą w najbliższych dniach. Tak czy inaczej, do momentu przejścia domu przez nowego właściciela jest on zgodnie z życzeniem pana Van der Beeka do waszej dyspozycji.

- A co z panną Muren?

- Wróci oczywiście do Londynu. Na jej miejsce ma przyjść pani Dodge. Dodam jeszcze, że suma,

jaka wynegocjowałem za wasze domostwo, pozwoli wam, jeśli mądrze zostanie zainwestowana, żyć we względnym komforcie przez raczej dłuższy okres czasu. A jest to, jak sądzę, najważniejszy aspekt całej tej sprawy.

- W takim razie będę wreszcie mogła poszukać dla moich cioteczek czegoś bardziej odpowiedniego niż ten segmencik. Myślę, że od początku nie lubiły go, chociaż nie usłyszałam od nich ani jednego słowa skargi. Zrobię wszystko, by na stare lata zamieszkały w miejscu, gdzie będą się czuły prawie równie dobrze jak tutaj.

Zaprowadziła pana Bennetta do salonu i zostawiwszy go w towarzystwie ciotek, poszła do kuchni.

- Czy już wie pani, panno Muren, że dom został sprzedany? Moje ciotunie zostają tutaj do momentu wprowadzenia się nowych właścicieli. Oczywiście, za zgodą i na życzenie pana Van der Beeka.

- Tak, wiem. I to również, że na moje miejsce przychodzi pani Dodge.

- A pani może wreszcie wrócić do Londynu...

- Wyjeżdżam jutro. - Surowe rysy jej twarzy złagodniały w uśmiechu.

- Pan Dobbs ucieszy się - powiedziała Patience, a panna Muren przyjęła tę uwagę z widoczną przyjemnością.

Kiedy Patience wróciła z kawą do salonu, zastała pana Bennetta w trakcie wyjaśniania ciotkom szczegółów związanych z odmianą ich losu. Słuchały z uprzejmym zainteresowaniem, ale gdy tylko pozwalał dojść im do głosu, zadawały pytania, które ze sprawą miały niewiele wspólnego.

- Proszę nie przejmować się, panie Bennett - powiedziała Patience. - Z czasem wszystko wytłumaczę ciotuniom.

Wypiwszy kawę, notariusz wstał i zaczął się żegnać.

- Zapewne będzie trzeba podpisać jakieś dokumenty - zauważyła Patience odprowadzając gościa do drzwi frontowych.

- Tak, jestem właśnie w trakcie ich przygotowywania. Ale zajmie to jeszcze trochę czasu. Gdy będą gotowe, natychmiast zjawię się z nimi.

Pan Bennett usiadł za kierownicą swojego przedwojennego chyba jeszcze humbera i ostrożnie ruszył w kierunku bramy. Powożąc bryczką, pomyślała Patience, czy byłby się na pewno lepiej i bezpieczniej. Lubiła go. Zajmował się majątkowymi sprawami ciotek od dziesięcioleci i zawsze było w tym coś więcej, niż tylko rzetelność wypływająca z zawodowego obowiązku.

Resztę dnia Patience spędziła pomagając pannie Murch przy pakowaniu. Przy okazji wysłuchiwała wielu rad dotyczących prowadzenia domu.

- Wiem, że przychodzi pani Dodge - powiedziała panna Murch tonem pewnej wyższości - ale ten dom wymaga szczególnie troskliwej gospodyni.

Patience nie miała wątpliwości, że pani Dodge będzie właśnie taką szczególnie troskliwą gospodynią, ale uwagę tę zachowała dla siebie. Nowy właściciel nie znajdzie chyba lepszej. Patience pozwoliła teraz swym myślom skupić się na tym człowieku. Zapewne miał żonę i dzieci, gdyż inaczej nie kupowałyby tak dużego domu. Co prawda, pan Van der Beek wynajął go tylko po to, by napisać tu książkę, lecz ostatecznie była to kwestia tylko kilku miesięcy, nie całego życia. Powinna zresztą natychmiast przestać o nim myśleć. Czyż nie zatrzasnęła za nim drzwi? Więc dlaczego nie może również zamknąć na głucho pewnych obszarów swojej pamięci?

Następnego dnia wybrała się do wioski. Gdy otworzyła drzwi szarego segmenciku, buchnął w nią odór stęchlizny. W małych pokoikach zalegała gruba

warstwa kurzu. Patience rozwarła wszystkie okna na oścież i przez godzinę słycać było w okolicy buczenie jej odkurzacza.

Śpieszyła się, żeby pożegnać się jeszcze z panną Muren. Wróciła do domu na czas.

- Proszę pozdrowić ode mnie serdecznie pana Dobbsa - powiedziała, kiedy podały sobie dłonie.
- Był bardzo dla mnie miły, prawie opiekuńczy.

Gospodyni wsiadła do taksówki, a Patience długo machała jej ręką.

Pani Dodge miała przyjść do pracy dopiero następnego dnia. Patience zajrzała do salonu, zobaczyła, że ciotka Polly czyta książkę, a ciotka Bessy dzierga chusteczkę, po czym wycofała się do kuchni, by przygotować kolację. Miło było przebywać znowu w starych murach, ale czuła wewnętrzny niepokój. Żyła od pewnego czasu z tygodnia na tydzień i ciągle nie wiedziała, co stanie się z nią i ciotkami za pięć czy dziesięć dni.

Pani Dodge przyszła z samego rana. Przyznała, że niewiele wie o warunkach, na jakich została zatrudniona, ale cieszy się z każdej możliwości zarobku. Ona i Patience zajęły się w pierwszym rzędzie sporządzaniem listy niezbędnych zakupów, następnie zaś rozdzieliły pomiędzy siebie zajęcia i obowiązki. Na Patience przypadła niewielka działka, gdyż musiała przede wszystkim gruntownie wysprzątać i uporządkować segmencik. Ostatecznie ciotki na pewien czas, zanim ona, Patience, nie znajdzie odpowiedniejszego domu, będą musiały do niego wrócić.

Pod koniec tygodnia miała już umyte okna, wytrzone dywany, opielony ogródek, upraną i wyprasowaną bieliznę pościelową, zapastowaną podłogę i pełną lodówkę. Została jeszcze tylko jedna rzecz do zrobienia. Nad górnym podestem schodów pomiędzy

dachem a obniżonym w tym miejscu sufitem znajdował się pawlacz o rozmiarach niewielkiej komórki. Zgromadzone tam były wszystkie te osobiste pamiątki ciotek, dla których zabrakło miejsca w pokojach. Należało je odkurzyć i posegregować. Traf chciał, że ciotka Bessy zapragnęła nagle przejrzeć stare albumy. Patience pamiętała, że schowane zostały razem z innymi skarbami ciotek do pawlacza.

Ranek tego dnia nastał pogodny i słoneczny, ale po południu ściemniło się. Nadeszły czarne chmury i zanosiło się na burzę. Ani w pawlaczu, ani w okolicy drzwiczek nie było zainstalowanej żarówki, więc z braku latarki Patience postanowiła posłużyć się świecą. Właśnie zapalała ją, kiedy przez wieś od horyzontu przetoczył się głuchy pomruk dalekiego grzmotu. Lichtarzyk zadrżał w jej dłoni. Na pewno nie była przewrażliwioną panienką, ale burzy autentycznie lękała się.

Mogła ostatecznie zbiec na dół do saloniku i z głową pod poduszką przeczekać nawałnicę, z tym że wówczas wstydziłaby się spojrzeć sobie w oczy. Otworzyła więc drzwiczki, wstawiła do środka świecę i opierając stopę o poręcz schodów wspięła się do pawlacza.

Z samego brzegu znajdowały się, spiętrzone jedno na drugim, pudła po kapeluszach, dalej leżały stare parasolki, laski, a nawet fiszbinowe gorsety. Nigdzie ani śladu albumów. Zauważyła je wreszcie na złożonej w kostkę starej, pluszowej zasłonie. Albumy i materiał były tak zakurzone i spowite kokonem pajęczyn, że zlewały się w jedno.

Sięgnęła ręką po album leżący na wierzchu, kiedy huknęło. Piorun uderzył tym razem tak blisko, że mogła to być nawet wieża kościoła. Patience poczuła, że zaczyna się pocić, a równocześnie ogarnął ją chłód. Lecz nagle chłód przemienił się w mroźny powiew strachu. Posłyszała kroki.

Nie mogła się mylić. Kroki były wyraźne. Ktoś wszedł do domu i przemierzał hol. Patience chwyciła starą parasolkę i, ostrożnie wysunawszy głowę z pawlacza, spojrzała w dół schodów. Najpierw zobaczyła buty, później nogi, a na końcu całą postać.

Mężczyzna, który stał na dole i patrzył na jej zwisającą z sufitu głowę, nie był ani gwałcicielem, ani rabusiem. Był sławnym chirurgiem i nazywał się Julius Van der Beek.

- Nie powinnaś była zostawiać drzwi otwartych, Patience - powiedział głosem tak łagodnym, jakby zwracał się do dziecka.

- Przestraszyłeś mnie. Myślałam, że to złodziej albo jakiś bandzior.

W jej głosie dawało się wyczuć gotowość do sprzeczeki.

- Ale już wiesz, że to ja, więc może zejdziesz na dół. Po co się tam wdrapałaś?

- Szukałam... - Nagle błysnęło i Patience wydała cichy okrzyk, który zlał się z głuchym grzmotem.

- Nie cierpię burzy, boję się piorunów. Ciotka Bessy prosiła mnie, abym przyniosła jej albumy ze starymi fotografiami.

Wszedł po wąskich schodach. Jego głowa znalazła się tuż przy zwisającej z pawlacza głowie Patience. Zapragnął wspiąć się na palce i pocałować ją w usta, ale oparł się tej pokusie.

- Więc daj mi je i schodź - powiedział tonem, jakim lekarz zwraca się do przewrażliwionego pacjenta.

- Ale najpierw, zanim puścisz z dymem ten dom, daj mi świecę.

Patience bez słowa podała mu świecę, a potem trzy grube, osnute pajęczynami albumy. Wreszcie jej głowa na dobre zniknęła i w jej miejsce pojawiła się stopa, następnie zaś noga po kolano.

- Ładna nóżka - skomentował pan Van der Beek.

- Nie mów tak o mnie! Nie chcę być dzielona na...

Kolejny ogłuszający grzmot nie dał jej dokończyć rzuconej cierpkim tonem riposty.

Wystawiła drugą nogę, lecz zanim zeskoczyła na podest, chwycił ją, potrzymał chwilę w powietrzu, jakby była Rosie, która namówiła wujka na zabawę w samolot, i postawił ostrożnie na podłodze. Następnie zebrał z jej włosów kilka pajęczych frędzli.

- Czy mam je zanieść do kuchni? - Wskazał na albumy.

- Tak, muszę wytrzeć je z kurzu wilgotną ściereczką - odpowiedziała, otrzepując sukienkę i przyglądając dłońmi potargane włosy.

Kiedy znaleźli się w kuchni, pierwsze co uczyniła, to podbiegła do lusterka, które wisiało pod zegarem. Zobaczywszy swoją twarz, aż jęknęła ze wstydu i grozy.

- Wyglądam jak kocmołuch!

Zbierając resztki odwagi, odwróciła się ku Juliusowi.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem badacza przyrody.

- Nie przejmuj się. Nikt cię nie widzi, a jeśli o mnie chodzi, to możesz wyglądać sobie jak kocmołuch.

Oczywiście, jeśli o niego chodzi, to mogła mieć garb i kosmate ręce, i kłopoty z przysadką mózgową, i chroniczną astmę, i tylko trzy zęby, w dodatku spróchniałe... Bo po prostu dla niego nie istniała, a była tylko jednym z elementów tego dobrze naoliwionego mechanizmu, który w pewnym okresie jego życia czynił mu to życie wygodnym i łatwym.

Chwyciła za szmatkę, zmoczyła ją i gwałtownymi ruchami zaczęła wycierać z kurzu albumy. Nagle cisnęła szmatkę do zlewu i podeszła do Juliusa.

- Myślałam, że jesteś w Holandii. Myślałam, że nigdy tu już więcej nie wrócisz. Pan Bennett powiedział mi, że domostwo zostało sprzedane. To bardzo uprzejme z twojej strony, że pozwoliłeś mym ciotkom

przebywać w nim do momentu, zanim nie przygotuję tego miejsca na ich powrót. Pani Dodge przyjęła zaproponowaną jej pracę, a panna Murch wyjechała do Londynu. - Przerwała dla złapania oddechu. - Dlaczego więc tutaj jesteś? - Spoglądał na nią z jakimś bezmiernym spokojem w oczach. - To bardzo uprzejme z twojej strony... - Nagle uświadomiła sobie, że to, co teraz chciała powiedzieć, już powiedziała. - Moje ciotunie są ci bardzo wdzięczne, ale jak widzisz, zdążyłam tu już zaprowadzić jaki taki porządek i możemy się przeprowadzać. Jutro zaczynamy pakowanie, a na pojutrze planuję przenosiny.

Zamknęła oczy, gdyż kolejny błysk poprzedzający uderzenie pioruna wdarł się przez okno.

- Nie ma pośpiechu ani też najmniejszej potrzeby. Twoje ciotunie mogą tam zostać...

Spoglądał teraz na nią z tak intensywnym napięciem, że w zmieszaniu odwróciła wzrok.

- Nie wiem, czy dobrze mnie zrozumiałeś. Już niebawem zapewne nowy właściciel będzie chciał tam zamieszkać. - Zmarszczyła czoło. - A swoją drogą, to mógłby już do tej pory powiadomić mnie o swoich planach.

- Ja jestem nowym właścicielem - oznajmił Julius.

- Ty?... Ale przecież nigdy nie chciałeś osiąść tu na stałe. I zapewne panna Murch też nie będzie chciała wrócić do Themelswick. Zbrzydziła sobie miejscowego rzeźnika.

- Panna Murch, niech Bóg ją pobłogosławi, nie ma powodu się trapić. Zostanie w Chiswick, gdzie w ciągu najbliższego czasu uczyni pana Dobbsa człowiekiem szczęśliwym.

- Zresztą mniejsza o pannę Murch - rzuciła Patience kłótliwym tonem. - Powiedz mi przede wszystkim, dlaczego kupiłeś domostwo? Chyba nie z myślą o zamieszkaniu w nim?

- Oczywiście, że nie. Kolidowałoby to z moją pracą. Kupiłem dom z myślą, aby zamieszkały w nim twoje ciotki pod opieką pani Dodge.

- A co ze mną? Niczego tu nie rozumiem.

- Zamierzam ożenić się.

Serce zamarło jej w piersi. Zawsze śmieszyło ją to wyrażenie, lecz teraz wiedziała, jak prawdziwie oddawało pewien rodzaj przerażenia i duchowego paraliżu. Nie mogła jednak poddawać się. Musiała przeciwstawić okrutnemu światu pogodną twarz.

- Miło słyszeć taką wiadomość. Życzę więc wam obojgu, tobie i Sylvii Van Teule, wiele szczęścia.

Życzyła mu szczęścia wbrew głębokiemu przekonaniu, że nie znajdzie go w małżeństwie z tą kobietą. Lecz nagle przeświadczenie to, jak gdyby buntując się przeciwko próbie ukrycia go z nakazu grzeczności, wyrwało się z jej ust:

- Nie jest to jednak żona dla ciebie. Unieszczęśliwi cię.

Zamknęła usta dłonią, ale było już za późno. Powiedziała te okropne słowa, na które on z pewnością nie zasługiwał, i nie mogła już ich wycofać.

Julius wstał z krzesła i zbliżył się do Patience.

- Nie mam i nigdy nie miałem zamiaru żenić się z Sylią Van Teule.

- W takim razie niczego już nie rozumiem.

Ujął ją za rękę.

- Wysłuchaj mnie, moja najdroższa. Kupiłem domostwo, gdyż chciałem zapewnić twoim ciotkom szczęśliwą starość. Lecz jeszcze bardziej pragnąłem, ażebyś ty, wiedząc, że twoim ciotkom niczego nie brakuje i że są pod troskliwą opieką ich dawnej sąsiadki i przyjaciółki, zgodziła się mnie poślubić i zamieszkać ze mną w Rijnsten.

- Wyjść za ciebie? - wyjąkała drżącym głosem.

- Tak, wyjść za mnie. Zrozumiałem, że życie bez

ciebie nie ma żadnego uroku, żadnej barwy. Jesteś w moim umyśle i moim sercu, i pod powiekami, kiedy zasypiając zamykam oczy. Kocham cię, najdroższa, i myślę, że moja miłość trwa już od tamtej chwili, kiedy w zimny deszczowy dzień spotkaliśmy się na polnej drodze.

Oczy Patience zabłysły od łez, które natychmiast spływały dużymi kroplami po jej umorusanych policzkach.

- Julius, och, Julius... Ja także ciebie kocham, moje serce również należy do ciebie. Ale czy rozważyłeś wszystko dokładnie? Jestem tylko prostą, prowincjonalną dziewczyną, w dodatku niezbyt mądrą...

Objął ją i przytulił do swej szerokiej piersi.

- Najdroższa, cóż za głupstwa wygadujesz? Jesteś piękna i mądra, i pragnę cię takiej, jaką jesteś.

- Naprawdę?

Pochylił głowę i pocałował ją.

- Pocałowałem cię po raz trzeci, ale teraz już wiesz, co chciałem przez to wyrazić. I co chcę wyrażać, całując cię, do końca mego życia.

Uśmiechnęła się uśmiechem dziecka, które nagle dostrzegło, że piękny sen znajduje potwierdzenie w rzeczywistości. I uniosła twarz na przyjęcie jego gorących warg.